12 stron

Cena wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego 10 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 13 października 1946 r. | Nr 41 (98)

FRANCISZEK GIL

Kalosz proletariusza i pancerz chłopa

Sprawa szła o kalosze proletariusza i pancerz chłopa czyli o dogadanie się. Skręca się do tej wsi prosto od strzyżonych trawników, ścielących się przed rezydencją panów na Łańcucie. Jest to czas, kiedy lato nieruchomieje po żniwach i zaczyna zamyślać się nad jesienią. Jeszcze parę kilometrów, jeszcze parę kroków na wzgórze, na którym, ponad wsią gackich koszykarzy, oparł się murowany dom ludowego uniwersytetu i oto po dziesięciu bez mała latach przyszło mi stanąć w kręgu ludzi, którzy byli wiernymi sojusznikami naszych walk o Polskę ludową i których rozorał pług rewolucji.

Jedni z nich przyjechali autami: starostowie, kierownicy urzędów, generalni sekretarze związków gospodarczych. Ale drudzy wstawali i mówili: „Lepiej by było żebyśmy jak dawniej przyszli tu na piechotę, a żeby była zgoda między nami...". Jedni podkreślali, że nigdy udział chłopa w dochodzię społecznym nie był tak wysoki jak dziś, że nigdy tylu synów chłopskich nie kształciło się w szkołach co dziś, a drudzy twierdzili, że sytuacja chłopów w kraju jest gorsza niż za sanacji, że dzisiejsi chłopscy starostowie i wojewodowie to tylko następcy pomajowych kadzi-chłopów. Jedni stawali za stołem i ostrzegali, że, „albo przystąpimy do współpracy z partiami robotniczymi, albo rosnąca od dołu i góry fala materializmu zmiecie nas z powierzchni", inni zaś odpowiadali — „tak, program, który się w Polsce realizuje, to jest nasz program, ludowców, ale nie pójdziemy, bo, godząc się z obecnymi metodami, stracilibyśmy sumienie, sprzeniewierzylibyśmy się ideałom prawdy, dobra i sprawiedliwości, które wynieśliśmy stąd, z Solarzowego uniwersytetu".

I tak przez dwa dni zjazdu byłych wychowanków uniwersytetów ludowych Szyc i Gaci patrzyłem, jak rozdarci przez materialne siły rewolucji ludzie bezskutecznie usiłują odnaleźć się w kręgu dawnej idealistycznej spólnoty Solarzowej i sam nie mogłem obronić się sprzecznym, miotającym mną uczuciom.

Tu przecież przyjeżdżała Halina Górska i zapisani przez nią ludzie „Rzeczypospolitej Przyszłości" — stali dziś razem ze mną. Z tymi oto chłopcami i dziewczętami, z zespołem amatorskiego teatru markowian, jeździł do Przemyśla wystawiać swego „Kordiana i chama" Leon Kruczkowski. Chłopski teatr dawał swą sztukę w Domu Robotniczym na Zasaniu i nigdy nie zapomnę przyjęcia, jakie robotnicza publiczność zgotowała aktorom. Teatr Gacaków odwiedzał Lwów i znów występy jego miały w sobie coś jednoznacznego: rzędy krzeseł do ostatka zapełniali zawsze ludzie związani z ruchem demokratycznym, lewicowym. Obecność na przedstawieniu Gacaków była nie tyle udziałem w akcie artystycznym, co manifestacją na rzecz sojusznika, oddaniem honorów. Tu, na Gacką Górkę przyjeżdżałem wreszcie na pierwsze reportaże, jeszcze w gimnazjum — pod pseudonimem. A teraz oto grupa ta stała przede mną — niemocna i bezwładna, skłócona, choć podająca sobie ręce, bez żadnego wpływu na kształtowanie się rzeczywistości — tak, jak rozdarła ją rewolucja.

FANFARAMI CHŁOPSKIEGO POZYTYWIZMU

Wojna zakotłowała wszystko, wzburzyła i wgniotła pod ziemię. Tak samo znieruchomiałą, jak to lato, i zamilkłą nagle jesień przecięły wówczas kolumny wojsk i uchodźców, nieme pasy frontu pod Jarosławiem. Batalion mój okopał się nad Sanem. Z naszych nędznych stanowisk ogniowych patrzyliśmy na zachód i posuwającymi się ku nam fontannami wybuchów mierzyliśmy, gdzie już kończyła się Polska. Nasze domy rodzinne, nasz krajobraz ojczysty — Rzeszów, Łańcut i tych kilka wsi, które teraz minęliśmy, były już za linią ognia. I myśląc w tym milczącym pasie frontu, który stratował wszystko co nasze — koniec — myśleliśmy także, jak i nieraz później, przez lata granic i okupacji, co z Gacią, co z Solarzami, co z tymi, którzy budowali tę Gacką Górkę i z tymi, którzy z niej rozeszli się w świat.

Stąd szła na wsie buntownicza nauka przeciw odgórnemu patronactwu księży i inteligencji, tu Magryś, w setną rocznicę rozbioru bratający się z panami i księżmi u Bramy Floriańskiej, otrzymał w historii ruchu chłopskiego miejsce epigona Bartosza Głowackiego i nieświadomego szkodnika chłopskiego. Stąd szły na wsie idee obce racławickiemu kosynierowi, jako temu, który swą dziejową rolę chłopa odegrał pod hasłami szlachecko-narodowymi. Godziny rozmyślań i umartwień na Gackiej Górce miały obudzić w chłopie polskim nowego człowieka. Klasę przez wieki prowadzoną przemienić w idącą o własnych siłach i w końcu prowadzącą. Wykształcić nowy społeczny typ chłopa czynnego. Drogę ku przemianie gospodarczej i cywilizacyjnej widziano tu w twórczej przemianie duszy chłopskiej, obezwładnionej przez szlachetczyznę i inteligenckie patronactwo. Tu przychodzili z całej Polski i szli na całą Polskę ludzie umocnieni w wierze, że chłop ma dość wartości do twórczego kierownictwa państwem, a odrodzenie narodu polskiego, obciążonego jednostronnym udziałem szlachty, stanowiło naczelny dogmat tej wiary.

I oto dziś, u progu trzeciego roku rewolucji, która władzę w tym kraju oddała ich niedawnemu robotniczemu sojusznikowi, ludzie ci zebrani razem próbowali odnaleźć się i wytyczyć przyszłość swej spólnocie. Wstawali i mówili:

Ruch ludowy niedostatecznie zaakcentował swój udział zarówno w walce o wyzwolenie, jak i w nowej rzeczywistości, i został zepchnięty na bok. W momencie wyzwolenia władzę wzięły w swe ręce warstwy robotnicze. Chłopskie siły podziemne zostały wykorzystane przez faszystów i endeków. Ruch ludowy zbyt mało zwracał uwagi na społeczne oblicze walki wyzwoleńczej i uległ urokowi „jedności". Poszedł nie za Bojką ale za Bartoszem Głowackim. Postawa nasza w okresie przełomu była za miękka i za skrupulatna, analiza zjawisk zbyt długa — zbyt grzęzła we wnętrzu sprawy. Za wiele zwracaliśmy uwagi na duszę, morale i za mało usprawniliśmy się. Potrzebna nam jest zwartość, dokładna świadomość, co należy wykonać, konkretyzacja zadań, by uniknąć spóźnień. Nie iść od przypadku do przypadku — wśród wahań z objęciem stanowisk. Wystąpić z krytyką nastrojowości. Najszkodliwsza i zgubna dla narodu jest kapitulacja przed bombą atomową, to znów przed zastraszeniami „sowieckimi". Solarzów nam trzeba. Oto był człowiek, który nie ulegał owczym nastrojom i mimo że nie wiadomo, co by dziś zrobił, to nam trzeba codziennego trudu myślowego, wypracowania rzeczywistego, poważnego procesu myślowego. Nie przesądzając, dokąd nas to zaprowadzi, trud musi być rzetelny... Nasza praca może odegrać wielką rolę w życiu narodu, w naszym istnieniu i nieistnieniu. Komisja Edukacyjna i Staszic stanowili o ogromnym wzroście sił naszego narodu. Czechosłowacja i Dania — oto przykłady wypracowania wielkich wartości w życiu codziennym narodu.

Utrzymać spólnotę w obecnej rzeczywistości, to podjąć i rozpracowywać podane zagadnienia. Jeśli zdołamy utrzymać prężność...

Na Gacką Górkę szli ludzie, których z domu gnała antypańska i antyklerykalna wola przemienienia wsiowego świata. Tu głodowali i tu Solarz uczył ich, że odrodzona, dźwignięta dusza chłopska przemieni chłopski świat na lepszy i sprawiedliwszy.

Niebawem przyszła wojna i za nią rewolucja, ofiarująca im władzę przemiany ich dotychczasowego życia, a oni nie umieli jej wziąć. Życie ich zmieniał kto inny, a oni raz nie uchwyciwszy nurtu, z dnia na dzień stawali się coraz tragiczniejszymi więźniami swej bierności.

Klęska była zbyt oczywista i zjazd rozpoczął się fanfarami jakiegoś chłopskiego „pozytywizmu".

GANDHI NA GACKIEJ GÓRCE

Skręcić do tej wsi można także spod gazonów pałacu Lubomirskich w Przeworsku. Obie rezydencje magnackie — panów na Przeworsku i panów na Łańcucie — to od dwóch już lat muzea narodu polskiego. Ziemie, które wchłonęły latyfundia Lubomirskich i Potockich — łańcucka, przeworska i rzeszowska, najliczniej obesłały zjazd. Ale o nowej strukturze wsi wspomniano tam może dwa, może trzy razy w ciągu kilkunastu godzin. Ludzie mówili:

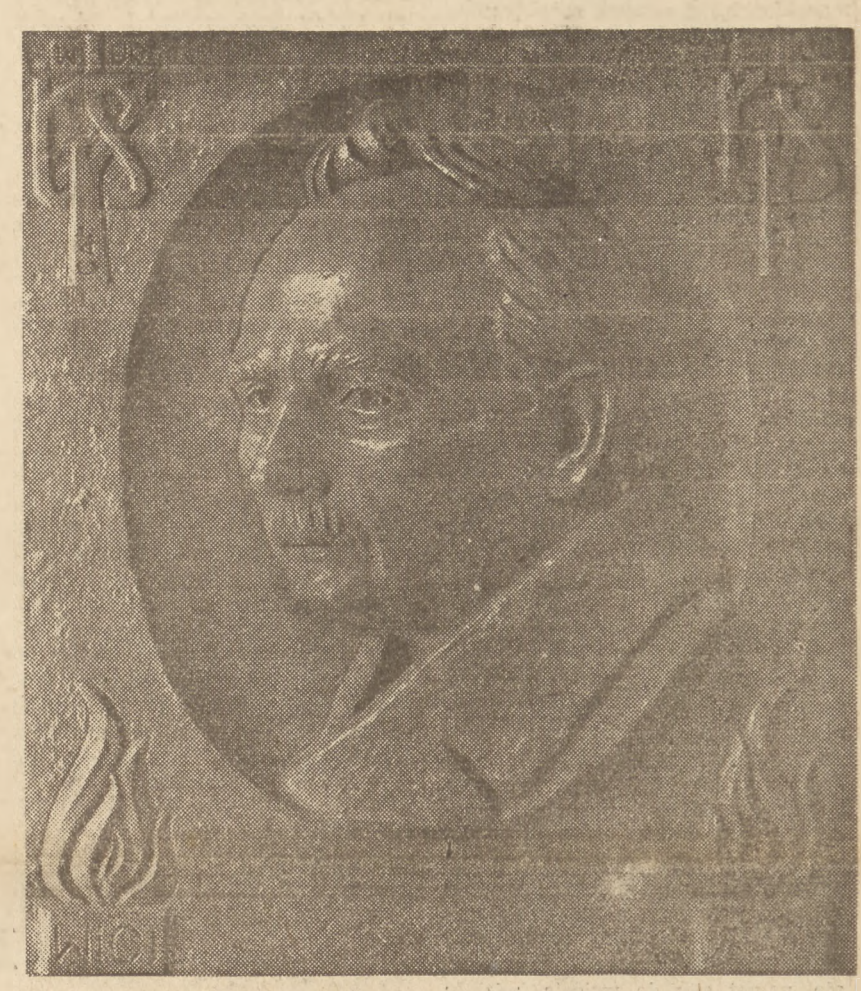

fot. Szwedo i Strychalski

CHRZESTNY SOLARZ
płaskorzeźba Paulina Wojtyny

— Tak, jak nas uczył Chrzestny, przebudowa byłaby trwała pokolenia, może lat pięćdziesiąt, sto... tymczasem wypadki szły z piorunującą szybkością i my nie dopasowaliśmy... czekaliśmy na wodzów z Londynu...

Wypatrywało się teraz jakichś konsekwencji, jakiegoś realnego wniosku i nagle z worka chłopskich dziejów wysypywał się... Gandhi. Cóż on tu robił na Gackiej Górce? Przez dwa lata studiowałem orientalistykę i nigdy w ciągu tego okresu nie nasłuchałem się tak wiele o hinduskim proroku, co podczas dwudniowego zjazdu Szycaków i Gacaków. Trzeba mieć wielki szacunek dla samouków, prosto od pługa sięgających ku sprawie wyzwolenia ludu hinduskiego i ku kłopotom brytyjskiego imperium. Działo się to jednak w chwili, gdy sami kierownicy uniwersytetu stwierdzali, że wraz ze śmiercią Solarza szkoła ich pozostała bez programu. Kiedy tłumacząc, że Chrzestny był taką indywidualnością, iż mógł sobie pozwolić na to, żeby nie mieć programu, przyznawali, że zespół, który po nim objął nauczanie, nie może już pracować bez planu.

Zjazdem byłych wychowanków kończył się właśnie pierwszy po wojnie kurs żeński. W jesieni przybędą na uniwersytet chłopi na koedukacyjny kurs zimowy. Przybędą ze wsi polskiej, która była nie do pojęcia bez „dziedzica" i w której „dziedzica" już nie ma, z Polski zawsze rolniczej, chłopskiej, dziś rolniczo-przemysłowo-morskiej. Przyjdą chłopcy, zapaleńcy „nowego" we wsi, bo tylko tacy zawsze tu szli i pójdą, i w dwa lata po reformie rolnej, po rewolucji, która robotnikowi i chłopu dała władzę materialnej przemiany, powiedzą im: „Czyńmy jak Gandhi, umartwiajmy się i odradzajmy duszę chłopską, a kiedy we wnętrzu swym dopracujemy się odpowiednich wartości, wtedy automatycznie będą się musieli z nami liczyć".

Główny referent, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici" Ignar, podkreślał na wstępie, że „nie Wielkopolska i nie Kongresówka wydały Witosa i Solarza. Małopolska, Galicja była ziemią Bartosza Głowackiego i Jakuba Szeli, ziemią „Piasta" i „Wyzwolenia". Ale też w żadnym innym „kraju polskim chłopskim" ruch ludowy nie przeżywał większych pomyłek i głębszych politycznych tragedyj.

Solarz żył i wypracowywał swą filozofię na ziemi masowych kongresów, masowych strajków i masowych pochodów nowosieleckich. Ale Solarz nie wierzył we wzięcie władzy przez rewolucję i nie wierzył w możliwość pożytecznego, twórczego sprawowania władzy przez nieprzerodzonego wewnętrznie chłopa. Nie wierzył w twórczą moc duszy zadeptanej wiekami pańszczyzny i do ostatnich czasów spychanej przez inteligenckiego ducha szlacheckiego. Chłopski świat wpierw miał się wyzwolić drogą egzorcyzmów wewnętrznych i budowy własnych, chłopskich wartości. We własnowolnym budownictwie miał uczyć się twórczego życia społecznego. I Solarz budował ze swą spólnotą gacką spółdzielnie zdrowia, zakładał spółdzielnie koszykarzy, ale był przeciwny nowosieleckiej masówce. Niosła ona bowiem chłopa przed oblicze dyktatora, jako ruchliwą, sypką masę, nie reprezentującą żadnej siły organicznej. Spółdzielnie gospodarcze i spółdzielnie zdrowia, uniwersytety ludowe miały przemienić polskie Galicje w polskie Danie i siłą organiczno-cywilizacyjnych wartości chłopskich zaciążyć nad życiem Polski. W latach doświadczeń przy terenowych budowach uczniowie Solarza poznawali polską dalekość tego programu. Nie tak łatwo było powtórzyć entuzjazm gackiej spólnoty w tysiącach polskich wsi i wielu ludzi, schodząc z Gackiej Górki, schodziło także ze szlaków wiary w możliwość zmiany warunków polskich w swym pokoleniu.

Uniwersytet ludowy Chrzestnego Solarza w Gaci

ELEKTROWĄWOZY, KOKSOWNIE I WIECZNA TAJEMNICA CHRZESTNEGO

Trudno o bardziej tragiczne świadectwo niedopasowania duńskich idei Solarza do polskiej rzeczywistości, jak osiadły w sąsiedniej wsi chłop, z którym często przyszło mi się spotykać i rozmawiać w czasie zjazdu, i z którym Chrzestny, zamordowany przez gestapo, spędził ostatnie dni. Solarz obiecał im wyjawić plan budowy czegoś, co przewyższy wszystko, czego dotychczas dokonali: „Niczym — uniwersytet. Niczym — spółdzielnia zdrowia" — mówił. I we wszystkich rozmowach chłop nie mógł uwolnić się od jakichś lunatycznych prób uchwycenia tragicznie zasłoniętej wizji dzieła swego nauczyciela. „Cośmy się go naprosili... i tak i tak... nic nie pomogło. Nie czas — odpowiadał — zobaczycie..."

I cóż to mogło być? Cóż razem z gackimi koszykarzami mógł jeszcze zbudować Chrzestny? Jeszcze jeden szpital wiejski, może dom dziecka, wszechnicę, pałac chłopa, może ogromną spółdzielnię! Kraj przystępuje do budowy gigantycznych elektrowąwozów, betonowymi łamami zagrodzimy rzekom ich prawieczną drogę i zmusimy je do pracy dla nas. Stare Naprawy zagospodarowują na Zachodzie nowe, po raz pierwszy w ciągu dziejów będziemy obwarowywali Wisłę i przyspieszali jej bieg w pogłębionym korycie, w naszych osiemnastu portach salutujemy coraz więcej bander świata, a setki wiernych uczniów Solarza błądzą wciąż w zaczarowanym kole zabranej do grobu obietnicy Chrzestnego o budowie czegoś, co miało przewyższyć uniwersytet gacki i markowską spółdzielnię zdrowia.

Tak zjazd, pominąwszy wystąpienia politykierów i wiecowników, przeżywał głęboki konflikt, głęboką rozterkę między Solarzowym, jakimś przyrodniczo-słonecznym ciągiem przebudowy, a coraz szybciej zagarniającymi masę chłopską falami polskiej rewolucji społecznej. Ci sami chłopcy widzieli już teraz, że nauka i praktyka Solarza nie przeprowadziła reformy rolnej, choć się jej domagała. W piorunującym tempie przeprowadził ją kto inny. Ich świat zmienili robotnicy, a nauka Solarza nie dała im nie tylko upragnionej mocy natychmiastowej przemiany, ale nawet siły do wzięcia udziału w jej przeprowadzeniu. Zbiorowo przyznawano się teraz do pułapki: „Program jest nasz, a my nie bierzemy udziału".

Cóż mogła im dać dziś Solarzowa? Przez dwa dni wzywała do bezwzględnej „szczerości ducha", chciała usłyszeć od swoich wychowanków pepeerowców, peeselowców i eselowców, od masy bezpartyjnej, co by wspólnie zmienić, żeby mieć do siebie zaufanie, próbowała szukać rozwiązania konfliktów społecznych w „ufności", w „dogadaniu się", drogą wewnętrznego mocowania się. I razem z tym, kierownictwu zjazdu rzadko tylko udawało się utrzymać dyskusję w tradycyjnych ramach Solarzowych idei. Konflikt, który u progu rewolucji targnął i rozbił gacką grupę, ścigał ją dalej. Uczestnicy zjazdu, w rozstrzyganiu zagadnienia dalszego bytu i oddziaływania Solarzowej spólnoty w obecnej rzeczywistości, odchodzili wbrew woli ludzi, którzy kiedyś ich prowadzili na zewnątrz, poza idealistyczny systemat praw i pojęć spólnoty, ku siłom społecznym, które ją rozbiły i ku punktom skrzyżowania tych sił. I tak rachunkiem owych sił, mocno zagarniających swych ludzi i nie pozwalających im się po dawnemu — „po gacku" — dogadać, spólnota przez cały czas obrad powtórnie ponosiła klęskę. Raz po raz niespodziewanie zjawiający się na obradach Gandhi był tym niezawodnym miernikiem ucieczki gackiej spólnoty od owego rachunku likwidującej ją rzeczywistości.

ZIEMIA ZAWODZI

Wśród kilkudziesięciu mówców zjazdu nie było bodaj jednego, który nie rozpoczynałby swego udziału w dyskusji od pytania: „Co dzisiaj zrobiłby Chrzestny?", i który dałby na nie jakąś określoną odpowiedź. Chodziło przede wszystkim o to, „dlaczego w chwili, gdy realizuje się nasz, ludowy program, my nie jesteśmy przy władzy", względnie „dlaczego jedni z nas są przy władzy, a drudzy nie?" Przemianowując uroczyście uniwersytet gacki na Uniwersytet Chrzestnego Solarza, zadawano sobie tam najczęściej pytanie: „Co by Chrzestny powiedział na to, gdyby ujrzał, że jedni z nas są dziś w PPR, inni w PSL, a jeszcze inni w SL? I najbliżsi jego współpracownicy odpowiadali zgodnie z najbardziej przelotnymi uczniami, że nie potępiłby pewno ani jednych, ani drugich, że nie powiedziałby: „Nie idźcie do PPR-u, czy nie idźcie do PSL-u — powiedziałby tylko: — nie zatraćcie człowieczeństwa!"

Jakaż to była odpowiedź dla owego rosnącego chłopskiego aktywu, który widział już, że znalazł się w ślepej uliczce i przez dwa dni gorączkowo szukał na tym zjeździe wyjcia! Uczniowie Solarza na gwałt pytali, co zrobiłby dziś Solarz, wszak mistyczny, autorytatywny przekaz urwał się z jego śmiercią, a Solarzowa, jak przed wojną jeździła z teatrem wystawiającym obrazki „Z tamtej strony jezioreczka" i „W nocy o północy", tak teraz jeździ z „Żywią". Ludzie, którym z dawna wierzyli i ufali, milczeli o najważniejszych sprawach, które nagle zaszły w ich życiu. Przemilczali siły, które tam na dole wciągały ich coraz bardziej w nurt przebudowy, w betonowe sztolnie wodnych zapór, w sieć spółdzielczych związków. Chcieli tu, na gorąco, rozstrzygnąć, w jaki sposób dotrzeć do rozdzielnicy sił zmieniających ich życie, w jaki sposób włączyć swój wysiłek w prąd przebudowy, żeby przeżyć tworzenie, a odpowiadano im — „nie zatraćcie człowieczeństwa". Jeśli w ciągu dwu lat rewolucji Gacka Górka nie umiała im powiedzieć — dzielcie pańskie pola, twórzcie szkoły i sanatoria na resztówkach, zagospodarowujcie poniemieckie majątki na zachodzie — winna była im, ludziom nieprzepartego ciągu do twórczej pracy, dać program inny. Innych dróg, prócz biernego lub czynnego oporu wobec rewolucji, albo dawnego gackiego programu gospodarczej i kulturalnej przebudowy wsi w zasięgu możliwości dźwigającej się i odradzającej duszy chłopskiej, nie było. Trudno mówić o pierwszej. W wypadku wyboru drugiej znaczyło w zasięgu swych wpływów zapalać kolejno spólnoty wiejskie dla ofiarnej, lokalnej budowy siłami jednej gromady uniwersytetu, spółdzielni zdrowia, warsztatu przetwórczego. Ale w ciągu tych dwu lat gacanie zrozumieli, że w tym samym czasie, w jakim mogliby stworzyć jedną placówkę — Związek Samopomocy Chłopskiej szybciej i lepiej zbuduje tysiące spółdzielni, tysiące szkół i ośrodków zdrowia. Że bez wielkiego planu u góry, bez budowy zapór na wielkich rzekach kraju, bez pomocy śląskich zjednoczeń do wsi ich nigdy nie dotrze światło elektryczne. Nikt tu już na serio nie traktował możliwości jakiegoś odrębnego „budownictwa", organizowania i rozbudowywania własnego życia gospodarczego wsi przeciw władzy politycznej, jak to było za sanacji. Spór szedł tylko o udział i formę udziału w kierownictwie sił, po raz pierwszy od setek lat do gruntu przemieniających oblicze kraju.

W połowie drugiego dnia zjazdu kierownictwo jeszcze raz spróbowało uczynić przedmiotem obrad sprawy własne spólnoty: organizację „wyższego" kursu w uniwersytecie, który by kształcił dalej wychowanków; utworzenie rady literacko-artystycznej i komitetu redakcyjnego, które by wydawały własne pismo Gacaków; utworzenie komitetu, który by wydobywał młodych, zdolnych ludzi i kierował na uniwersytety i na studia za granicą; sprawę organizacji większych wycieczek; przejęcie kierowniczej odpowiedzialności za program i rodzaj nauczania w pozostałych uniwersytetach ludowych. Nie było oddźwięku. Chłopi czuli, że z postulatami tymi drepczą w jakiejś próżni, że ogólnokrajowe spółdzielnie i organizacje chłopskie taniej i szybciej wydają już dziesiątki większych i doskonalszych pism, niż ich projektowane, że walczyć z obecną władzą o dopuszczanie synów chłopskich na uniwersytet znaczy wybijać dziurę w niebie, że wszystko to, co próbują sobie na tym zjeździe osobno uplanować i zakreślić, ktoś inny planuje już lepiej i doskonalej, buduje szybciej i potężniej dla wszystkich, że środki, które dla tego budownictwa koncentrują — są przedmiotem wysiłku całej ludności kraju.

I tak przez dwa dni ludzie najlepszej wiary w przebudowę skarżyli się, że zostali przez nią zaskoczeni. Solarz uczył ich, że przemiana będzie się dokonywać z przemianą duszy chłopskiej. Był przeciwko nowosieleckiej i rzeszowskiej masówce, ale w chwili strajku chłopskiego poparł strajkujących. Solarz „mógł sobie pozwolić" na takie zygzaki, ale uczniom swym prócz dogmatycznych pojęć człowieczeństwa, dobra i miłości i „chłopskiej" intuicji nie dał żadnego narzędzia myślowego, które by im pozwoliło określić obiektywnie swe stanowisko wobec sił przemiany, która zagarnęła wieś. Zawiodło „współdziałanie z naturą", ów dogmat Solarzowej filozofii, warunkujący „uszczęśliwienie ludzkości". Przemiana życia wsiowego nie wypłynęła z przemiany duszy chłopskiej. To właśnie przemiana ich życia poczęła zmieniać ich duszę. Byli w rozterce, a „ziemia" nie umiała im tu nic doradzić.

W KRAJOBRAZIE SPOTKAŃ SERDECZNYCH

A jednak trudno się było oprzeć urokowi tego zjazdu. Chłopiec, delikatny chłopiec, który teraz przypominał mi zimny, styczniowy czas odwiedzin w uniwersytecie w 1937 roku: „nie wiem, czy będzie pan pamiętał, ja nalewałem naftę, tam na górze...", który mówił: „wtedy, literat przyjechał: człowiek myślał, kto wie co", ten chłopiec szedł potem z wiosną bić się do Hiszpanii, przeszedł obozy Francji, odznaczył się w Ruchu Oporu, brał udział w organizacji Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego na ziemi francuskiej, przewędrował Belgię i Niemcy i dziś przyjechał tu z Warszawy jako delegat Zarządu Głównego Związku Walki Młodych. Inni „nalewający wówczas naftę" chłopcy przeszli partyzantkę. Bataliony Chłopskie i stanowiska starostów, kiedy nie było jeszcze żadnych legitymacji i pieczątek, kiedy ich samych, nie mających na ulicy czym się wykazać, że są starostami, wojsko brało do usuwania gruzów. — Dziś przyjechali tu jako kierownicy związków gospodarczych, jako czołowi pracownicy samorządu.

Chłopiec z Warszawy wchodził na podium i opowiadał, jak Europa oceniła wartości wyniesione przez niego z gackiego uniwersytetu. Jak zaszczepione tu poczucie międzynarodowej solidarności kazało mu iść z bronią w ręku pomagać ludowi hiszpańskiemu, jak wpojone w uniwersytecie obiektywizm i uniwersalizm ułatwiały zżycie ze społeczeństwami Belgii i Francji. Nad wspólną mogiłą Gacaków, pomordowanych przez okupanta w czasie pacyfikacji wsi, młode dziewczęta śpiewały: „Wyciągnijmy ręce ku dobroci", a chłopscy starostowie i wojewodowie bez świty i bez straży, koledzy z kolegami szli przez wieś do domu zebrań. Pepeerowcy i peeselowcy podawali sobie ręce, całowali się po latach dzielących ich od chwili, gdy razem schodzili z tej Gackiej Górki, i w długich dyskusjach z jednakim szacunkiem wspominali Chrzestnego. W to niedzielne sierpniowe popołudnie, owo pogórze łańcuckie było częścią naszego krajobrazu, w którym rodziliśmy się, i ci ludzie byli ludźmi, z którymi złączyły nas lata wspólnej młodości, spędzonej na tej ziemi. I chociaż niekiedy brakowało tu zaufania politycznego, to nigdy nie załamała się ufność towarzyska i koleżeńska.

Wypowiedzi były tak różne, jak różnie rozeszli się w świat gaccy ludzie, jak odmienne objęli placówki życia państwowego i społecznego i jak bezkształtna była masa, która razem z tamtymi zeszła z tej Górki we wieś i nie dźwignęła się już w niej. Ludzie, którzy przeszli Europę i ludzie, którzy dobrze otarli się o społeczne życie kraju, przestrzegali następców Solarza i swą spólnotę przed losem partyjnej szkółki. Dopóki uniwersytet jednoczył całą wieś dla odrodzenia i przebudowy życia chłopskiego, dopóki kierownicy i wychowankowie jego umieli uznać rzeczy dobre u swoich przeciwników i widzieć rzeczy złe w sobie samych, dopóty istniała pewność, że wiążąc krytycznie zagadnienia służy sprawie wsi polskiej.

Któż tego słuchał! Może było to i ważne, ale tragedią spólnoty było, że na jej serdecznym zjeździe, mającym cementować to, co rozbite, sprawy jej były nieważne.

Główny spór szedł o pancerz chłopa i kalosz proletariusza.

TABORYCI CZY ODDZIAŁ GŁÓWNY REWOLUCJI

Chodziło o zastrzeżenia nie pozwalające drugiej, opozycyjnej grupie Gacaków stać się także starostami, kierownikami związków gospodarczych, budowniczymi zapór i elektrowąwozów. Ignar i wychowawcy uniwersytetu odżegnywali się od polityki, walczyli „z upolitycznieniem" wychowania w ruchu ludowym, które dokonało się wskutek udziału w walce konspiracyjnej. Ale uczestnicy zjazdu uparcie trzymali się polityki. Jedni mówili: „Trzeba przyłączyć się do aktywu przebudowy, wejść i zdobywając stanowiska czynną współpracą państwową umocnić pozycję klasy chłopskiej". Drudzy ostrzegali: „Trzeba opancerzyć się przed pomniejszaniem chłopów i sprawy chłopskiej przez prasę marksistowską ...proletariusz wchodzi w gotowe kalosze odgórnego, inteligenckiego myślenia o chłopie, duch szlachetczyzny zagnieżdża się w szpaltach pism robotniczych". Jedni dowodzili: „Z nami czy bez nas przebudowa dokonywała się i dokona się dalej i przystępując jak najszybciej do współpracy możemy tylko zyskać...", drudzy odpowiadali: „Nie pójdziemy pod komendę funkcjonariuszy demokracji; do urzędów informacji i propagandy, do ministerstw i województw, na naczelne stanowiska w związkach spółdzielczych poszła inteligencja, która dziś służy lewicy, jak dawniej służyła sanacji i ona, gdzie może, przepycha swój niezmieniony, pogardliwy, odgórny stosunek do chłopa. Nie oddamy się pod tę komendę inteligen-

JAN HUSZCZA

ZIEMIA MŁODOŚCI

WSPOMNIENIE XI: MAJ

Huczały drzewa od wiatru:
zielono ku ziemi naginał.
Oczy kolorem nieba zatruł
w lesie szumiącym dziewczynom.

Las i dziewczyny szumiały,
klaszcząc białym obłokom:
mknęły pierzaste strzały
po wzgórz niebieskich stokach

Szum był bardzo błękitny,
ciepły jak sen i głęboki.
W szumie dziewczęta kwitły,
oczy, las i majowe obłoki.

WSPOMNIENIE XVI: ODWIEDZINY SĄSIEDZKIE

Altanę w sad chmielami wpleść.

Popołudnia treść:
piernik miodowy, wino jabłeczne, —
rozmowa serdeczna...

Szkoda, że bez panny Wali.
Pannę Walę do miasta za mąż oddali.

Wróbel gałązkę spłoszył jabłoni:
zmierzch przypomina bryczuszkę i konie.

Za wzgórza folwark po okna się schowa.
Miesiąc zza lasu ryżą wysunie głowę.

WSPOMNIENIE XXI: PÓŹNA JESIEŃ W MIASTECZKU

W kałuży się chwieją cerkiewne kopuły.
Kilka liści klonowych po ulicy się tuła.

Pod mrok z parasolką wyszedł na spacer
[pan sędzia,
lecz deszcz go wkrótce przepędził.

Na parkanach bluszcz dogorywa.
Nadchodzi noc grząska,
chłodem powiało znowu —
a my w ubogim sklepiku pijemy wodę
[sodową
dlatego, że ją podaje piękna Mirele.

SEWERYN POLLAK

GODZINA ŻYCIA*)

NAPIS NA POMNIKU POETY

Zakląwszy w wietrze wiry wspomnień,
Co się jak piasek podrywają, —
W słup nieruchomy, aby po mnie
Jak posąg wzniósł się, gdy ogromnie
Nie mnie — mój czas wyobrażając,

Słowami stanął obleczony,
Spełniłem los nadmiernie twardy.
Młodzieńczych widzeń świat zamglony
Skurczył się w nagle odsłoniony
W ojczyźnie ziemskiej — kraj pogardy.

Więc pomnikowi temu nadam
Kształt straszny, aby był przestrogą
Dla nowych czasów. Ludzka zdrada
To imię jego — bo wypada,
Aby zachować pamięć wrogą.

Milionów śmierć niech wyobraża,
I wielką milionową gorycz,
I wielkość lęków i przerażeń,
To, co naporem strasznych zdarzeń
Ludzi zmuszało do pokory.

Ale dla innych niech wypowie
Pomnik nie tylko szorstkie męstwo,
Niech obciążony kul ołowiem
Odważy w jednym twardym słowie
Słowo najcięższe — człowieczeństwo.

JÓZEFÓW

Pachnie sosnowo i mokro,
Ale nie przejmuj się tem,
Skoroś zatrzasnął okno
Pomiędzy dobrem a złem.

Minęła młodość, a radość
Paruje z piasku i drzewa —
Cóż, uczyniłeś zadość
Tym, którzy mówią: tak trzeba.

Rozwiej, rozwiej po wietrze
Dzieciństwo, sosny i deszcz —
Znów cię przeniknie dreszcz,
Gdy westchniesz tamtym powietrzem.

Na dnie rodzimej rzeki
Nie znajdziesz gwiazd załopionych —
Możesz tylko w świat stracony, jak do
[Mekki
Pielgrzymować, pielgrzymować
[z pokłonem.

*) W najbliższym czasie ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka" tom wierszy Seweryna Pollaka pod tytułem „Godzina Życia". Z tomu tego wyjmujemy dwa wiersze.

ckich funkcjonariuszy demokracji, tak jak upaść muszą sztuczne spółdzielnie, tworzone nie ze spółdzielców z ducha, ale z obojętnych sprawie urzędników".

Gacka Górka przepuszczała ludzi będących czymś więcej niż partią. Był to aktyw rosnącej klasy chłopskiej — aktyw przedednia rozwalin dworu. Po wyzwoleniu klasa ta pierwszy raz w swoich dziejach trafiła na zaczątek warunków odpowiednich dla rozwoju i jej rozrosły teraz szeroko aktyw gorączkowo szukał form czynnej współpracy. Ale coś ich „opancerzało", coś usztywniało im ręce i nogi.

Gacka Górka pogłębiła ich wsiową niechęć i nieufność do urzędnika i nauczyciela, mitem „chłopskości" i mitem „ziemi" zamąciła rzeczowy stosunek do klasy robotniczej. „Wpierw musieliśmy budzić swą świadomość i wypracować własne wartości, żeby mieć z czym pójść do robotników" — usprawiedliwiała spólnotę Solarzowa, ale już na zjeździe odpowiedziano jej, że wypracowywanie własnych wartości w danej rzeczywistości społecznej nie może się odbywać w oderwaniu od innych klas społecznych. Demokratyzacja aparatu państwowego niewątpliwie nie została jeszcze w pełni przeprowadzona. Łagodna rewolucja nie uczyni tego z dnia na dzień i trudno winić borykające się z tym problemem partie robotnicze o sanacyjne wiano, wniesione do demokracji przez warstwy urzędnicze. Mówiono: „Nie pójdziemy na współpracę „za wszelką cenę" z podniesionymi rękami do jakiejś niezasłużonej Canossy" i spór najgorętszy szedł o metody rewolucji, o metody walki z oporem wobec przebudowy.

Starły się tu dwa wybitnie obce sobie doświadczenia. Bo kiedy uniwersytet i markowską spółdzielnię zdrowia uczniowie Solarza budowali własnowolnym, entuzjastycznym wysiłkiem gromady, mając do pokonania tylko formalny bądź co bądź opór referenta starostwa i miejscowego proboszcza, to rewolucja, budując tysiące takich spółdzielni, szkół i ośrodków zdrowia na gruzach obszarniczego i kartelowego posiadania, musi w skali państwowej pokonywać czy to zorganizowany opór klas schodzących do grobu, czy to bezwład i tradycyjny nawyk grup i mas, które zawsze leżały poza zasięgiem własnoinicjatywnego kręgu Gacaków. Solarz byłby budował lat co najmniej sto. Rewolucja buduje w dziesięciu i musi pokonać opór, jaki wywołało skupienie w jednym krótkim okresie wszystkich dziedzin i problemów przemiany.

W skali państwowej nacisk młyna rewolucji musiał się zwiększyć, doprowadzając do głębszych konfliktów w społeczeństwie niż budowa spółdzielni zdrowia w Markowej. Budując uniwersytet, grupa gacka nikomu niczego nie odbierała. Ale w programie swoim miała reformę rolną i, gdyby bieg dziejów jej oddał w ręce realizację rewolucji rolnej, obeszłaby się bez siły i ludzie jej nie zalecaliby dzisiaj na zjeździe swoim kolegom, członkom „wystrzeliwanych" partyj, odrzucenia broni i wyjścia naprzeciw terorystom z gestem miłości bliźniego. Rewolucja musi pokonywać siły bezwładu. Siły nowe biorą tu górę i przełamują siły przeżyte, nie mając czasu dyskutować z ich reprezentantami społecznymi. Marnotrawiąc i niszcząc część potencjału społecznego, wyzwala jednocześnie ogromne siły, które w ewolucyjnej, chałupniczej formie dochodziłyby do głosu przez lat sto i dwieście.

Spór szedł o indywidualną po kolei zgodę i aprobatę polskich przemian, o zmianę stosunku do oporu okazywanego przebudowie. Entuzjastyczny świat pojęć Gackiej Górki, jej przedwojenne, przedrewolucyjne doświadczenie społeczne ciągle jeszcze opancerzały uczestników zjazdu. Mieli zaufanie tylko do spółdzielni stworzonej przez wewnętrznych spółdzielców, nie wierzyli, żeby rozbudowywanie sektora spółdzielczego mogło wciągać coraz więcej ludzi i czynić z nich spółdzielców. Zarzucając robotnikom i pracownikom przebudowy wchodzenie w gotowe kalosze odgórnego stosunku do chłopów, sami nie dostrzegali, że, jeśli chodzi o stosunek do rewolucji, człapią w kaloszach historii, w kaloszach stosunku do rzeczywistości rządów Nieświeża. Nad zjazdem unosił się poszum chłopskości, „osiemdziesięciu procent chłopa", przedawniony uraz odgórności, który odbierał większości uczestników realny stosunek do klasy robotniczej, do nowej inteligencji i do trudu nad demokratyzacją aparatu państwowego.

Zarówno będący przy władzy jak i ci, co od dwóch lat brać jej nie chcieli, albo od niej odeszli, przyznawali, że ruch ludowy nie dopasował się do dziejowej chwili, że ani program, ani przywódcy nie dali im niczego, co pozwoliłoby im zapanować nad sytuacją. W obliczu jednej społecznej tragedii setek i tysięcy ludzi, szamocących się ku jakiemuś wyjściu, następowała druga. Zjazd wychowanków uniwersytetów o takim wpływie na życie dowojennej wsi, po dwóch latach rozterki i szamotań niczego już dziś tym wychowankom dać nie mógł. Przebudowuje się ich dom. A oni mają stać z boku i pogłębiać swą „chłopskość". Z trudem też i w pośpiechu, jakby razem z kolacją i jakby nikomu już na tym nie zależało, zdołano drugiego dnia pod wieczór wybrać zarząd związku byłych wychowanków Szyc i Gaci.

W PIENINY I NA WAWEL

Tradycyjnym zwyczajem kończą się gackie kursy wycieczką słuchaczy w Pieniny i na Wawel. Zamek królewski, katedra i Pieniny zaklinały wypracowaną w uniwersytecie wizję Polski w ostatni obraz. Wielowiekowe zabytki i groby królewskie kładły się na serca słuchaczy jako ostatnie narodowe doznanie. Tego roku prowadził wycieczkę jeden z najbliższych współpracowników Solarza i obecny kierownik uniwersytetu Dejworek. Dziewczęta zeszły do rotundy Feliksa i Adaukta, a potem na wieży katedralnej roześmiane kolejno dotknęły serca dzwonu Zygmunta, żeby w tym jeszcze roku wyjść za mąż. Jakie to było piękne! Schodząc ze wzgórza patrzyliśmy daleko za Wisłę na południe i Dejworek mówił: „Chcemy dostać się do Mszany, żeby zanocować u tego gospodarza, u którego zawsze nocowały nasze wycieczki, a potem przejść przez Turbacz... Jeśli żyje... nie wiadomo, czy w czasie wojny coś się z nim nie stało..."

Zastanawiał się, co by jeszcze w Krakowie dziewczęta mogły zwiedzić... ale coś nowego, żywego..., jakąś fabrykę, zakłady... Tak ciągle tylko same zabytki, sama przeszłość. Groby i pomniki...

Wybraliśmy Pałac Prasy, maszyny „robiące" książki i gazety. Traf chciał, że o pozwolenie zwiedzenia trzeba było prosić Adama Polewkę. Ilekroć na zjeździe przypominano, jak bardzo brak współdziałania z ruchem robotniczym w przeszłości zaważył na urazach i odsunięciu ruchu ludowego od władzy, tylekroć kierownicy zjazdu wyciągali to jedno nazwisko: Adam Polewka i to jedno miejsce — Szyce. Dodawano do tego kontakty z TURem, występy sceniczne u robotników w Przemyślu, ale wszyscy czuli, że gaccy ludzie mają tu nie wiele więcej do powiedzenia poza parę razy na zjeździe powtórzonym refrenem jakiejś całości poetyckiej: „Już się nie kłóci śpiew skowronka z gwizdem syreny".

W gronie najbliższych współpracowników Solarza rodziła się już myśl, że końcową perspektywą kursu nie może być tylko szlak między gackimi strzechami i wawelskimi dzwonami. W murach najstarszego w Polsce kościoła, rotundy Feliksa i Adaukta, rodziła się tęsknota zobaczenia najnowszej fabryki.

Nie było jeszcze nikogo, kto by po Wawelu pokazał gackim chłopcom i dziewczętom zapory wodne na Dunajcu i osiedla robotnicze na Śląsku. Wrócą do swoich wsi i Polska będzie się dla nich kończyła kamieniem wawelskim. Ale już ta pierwsza powojenna wycieczka dostrzegała, że nie wszystko widzi z tego, czym jest Polska. Jej kierownik próbował odszukać maszyny, ludzi żywych, a dziewczęta jak dzieci dopominały się o jedną jazdę tramwajem.

I ta tęsknota dziewcząt i Dejworka za dotykiem nieznanej im Polski była jak pierwszy zwiastun prób przedarcia się duszy Gacaków, zaklętej przez mistykę chłopskich rekolekcyj na Gackiej Górce i nieprzeparte uroki tradycji — ku Polsce z bliska już wyłaniającej się ku nim spółdzielniami, wodnymi zaporami i zelektryfikowanymi wsiami.

Franciszek Gil

Rozmowa ze Staffem

Leopold Staff rys. Borysowsk

Mnie młodemu łatwo jest wbiec na trzecie piętro. Ale Staff ma już 68 lat. Lekko pochylony wiekiem wychodzi raz na dzień na przechadzkę. Idzie powoli, przystając co kilkanaście metrów. Odpoczywa. Jest szczupły, średniego wzrostu. Śmieje się często. Posiada wybitne poczucie humoru. Pamiętam, pewnego dnia przyszliśmy do Staffa we dwójkę. Mój wysoki towarzysz chciał mnie puścić przodem. Zauważył to Staff. W czasie, gdy certowaliśmy się we drzwiach, Staff wesoło rozwiązał ów grzecznościowy problem: — Podług wzrostu, panowie, podług wzrostu.

Mały pokoik, do którego wszedłem, nazywa się pracownią, naturalnie wtedy, kiedy nie ma nikogo obcego i Staff pracuje; w razie odwiedzin zmienia nazwę na salonik, a w nocy zastępuje sypialnię. Pokoik ma rozmiary 5 m na 3 m. Posiada duże okno od strony południowej, toteż Staff żali się, że w pogodne, gorące popołudnia żar słońca nie pozwala mu pracować. W pokoiku stoją dwa łóżka, biurko, szafa, kozetka i stół. Piszę to dlatego tylko, żeby pokazać, jak żyje i w jakich warunkach pracuje nestor poezji polskiej, najcichszy i najpogodniejszy z wielkich.

Znana jest skromność Leopolda Staffa. On sam rzekł niegdyś mówiąc o towarzyszach młodości: Naszą ambicją, naszą dumą było nie mówić o sobie. Wstydziliśmy się mówić o sobie samych.

Tę zasadę potwierdził Staff całym swoim życiem. I teraz, gdy pytam o jego twórczość, chętnie opowiada... o innych. Proszę, by mówił o sobie. Twarz poważnieje, gładzi siwą, rzadką bródkę, mówi zrazu z lekkim przymusem, później płynnie, obrazowo, ze swadą.

— Miałem lat 15. Od roku znałem już Jana Kasprowicza. Wreszcie i ja zacząłem skrobać wiersze, może — nie wiem — pod jego wpływem. Jednakowoż nie pokazywałem ich nikomu. Dopiero pierwsze odpowiedzi redakcji na wiersze, które podpisywałem zmyślonym nazwiskiem, zastanowiły mnie, no i rozbawiły zarazem. Napisałem bowiem balladę. Długą, banalną. Wysłałem ją do „Tygodnika Illustrowanego", gdzie redaktorem naczelnym był Gawalewicz. Po paru tygodniach dostaję odpowiedź: wiersz świetny. Niestety z powodu braku miejsca nie możemy wykorzystać. Pomyślałem, że chyba ten wiersz jest za długi, napiszę i poślę inny, krótszy. Napisałem, wysłałem. Ten sam Gawalewicz odpisał mi, że... wiersz nic nie wart, że... grafomania najpodlejszego gatunku, że... najlepiej w ogóle przestać pisać. Bardzo się zdziwiłem. Wysyłałem później te same wiersze do różnych redakcji. Odpowiedzi były przeróżne. Nie zamieścił ich nikt.

Mój pierwszy drukowany wiersz przyniósł mi 1 koronę 80 groszy zaszczytnego honorarium. Wiersz, nawiasem mówiąc, miał ze trzydzieści strofek, a redakcja liczyła od wiersza 3 grosze. Byłem wtedy wniebowzięty. Z czasem coraz częściej drukowano mnie w czasopismach.

— A jak było z pańskim pierwszym tomikiem „Sny o potędze"?

Staff spojrzał na mnie nieomal filuternie, uśmiechnął się.

— Nosiłem się z moim tomikiem przeszło dwa lata. Doskonałe, piękne wiersze — twierdzili wydawcy, którym mój tomik przedstawiałem — niestety, pańskie nazwisko, nazwisko... a ja nazwiska nie miałem, nie byłem nic a nic znany.

Studiowałem w tym czasie prawo na uniwersytecie lwowskim. Ojciec mój chciał, abym zrobił „uczciwą" karierę urzędniczą i został „porządnym" adwokatem lub sędzią. We Lwowie znajdowała się księgarnia i wydawnictwo pana Połonieckiego. Byłem z nim na „ty". W ogóle wtedy była moda na „tykanie się". Otóż ten wydawca zaproponował mi wydanie mojego tomiku i — tytułem odstępnego — 25 guldenów, tj. 50 przedwojennych złotych. Naturalnie pogniewałem się na niego śmiertelnie.

W dzień Trzech Króli 1901 r. przeczytałem mojemu ojcu kilka własnych wierszy. Ojciec był w dobrym humorze, zapytał, ile kosztuje wydanie. Natychmiast, z tym samym pytaniem, wysłałem kartkę do Anczyca, wydawcy krakowskiego. Ten przysłał kosztorys, próbki druku i papieru, a nawet kalendarzyk korektorski. Kochany tatuś dał pieniądze, no i po dwóch tygodniach przeprowadzałem już korektę zbiorku „Sny o potędze". Naturalnie wyszedł on pod firmą Gebethnera i Wolffa. W owym czasie wydać własnym nakładem, to była hańba. Za firmę też zapłacił tatuś.

Wiersze wyszły, a ja przeląkłem się bardzo i wyjechałem do Włoch. Bałem się krytyki. Wracając spotkałem znajomego adwokata ze Lwowa, który, witając mnie, zapytał czy wiem, co o mnie napisała „Chimera". Przeraziłem się jeszcze mocniej. Miriam Przesmycki, ówczesny redaktor „Chimery", uchodził za bardzo srogiego krytyka. Nie było jednak tak źle. Krytyka była pochlebna, nawet bardzo pochlebna. Przestałem się bać. Sam tytuł „Sny o potędze" był w owych dekadenckich czasach pewnego rodzaju rewelacją.

— Dlaczego ostatni tom nazwał pan „Martwą pogodą", przecież żywe obrazowanie...?

— W zbiorze tym jest wiele wierszy z okresu przed rokiem 39, z okresu, jeżeli można go tak nazwać, bezideowego, są resztki moich okupacyjnych wierszy. Nazwałem ten tom utartym zwyczajem, od jednego wiersza. Do tytułu nie przykładałem specjalnej wagi.

Zarzucano mi, że jestem pisarzem pozahistorycznym. Rzeczywiście, bezpośrednio nie walczyłem z wrogiem, a wiersze moje z tego okresu: okupacji i powstania warszawskiego — zaginęły, spaliły się.

Mieszkałem w Warszawie przy ul. Koszykowej 25. Miałem tam swoją bibliotekę. Pracowałem. Później przyszło powstanie. Nie uratowałem nic. Wszystkie książki, cała moja biblioteka, spłonęły. Spłonęły także moje rękopisy, niewykończone prace...

Niemcy wyrzucili mnie i żonę, chorą wtedy, z Warszawy, załadowali do pociągu i kazali wysiąść dopiero w Starachowicach. Tam przyjął nas litościwy ksiądz pleban. Byłem w Starachowicach miesiąc, potem znalazłem się w Krakowie. Tutaj wreszcie dogoniła mnie wolność...

Pamiętam, w Warszawie odwiedzali mnie w moim mieszkaniu młodzi bojowcy-literaci. Niektórzy z nich już nie żyją, jak np. Gajcy (Tadeusz Topornicki), niektórzy jeszcze nie odnaleźli się, niektórzy wzrastają, idą mocną, piękną drogą wzwyż.

— Jak pan ocenia dzisiejszą młodą i najmłodszą literaturę polską?

— Poza pewnymi małymi zastrzeżeniami natury ogólnej uważam, że poziom literatury od czasów przedwojennych, mimo olbrzymich strat, podniósł się niesłychanie. Podniesienie poziomu najjaskrawiej występuje w prozie. Ostatnie książki Andrzejewskiego, Brandysa, Brezy, Dygata, Żukrowskiego... są doskonałe pod każdym względem. Podobnie jest w poezji. Na przykład: nie słyszałem jeszcze rozmowy o literaturze, w której by nie mówiono o Przybosiu, o Jastrunie. To doskonali poeci. Niemniej, mówiąc o poezji, muszę zrobić jedną uwagę: żaden kraj nie podlega tak wpływom francuskim jak Polska. To nie jest złe, a jednak trochę złe. Francuszczyzna hamuje nasze polskie cechy pewnej oryginalności. Jednakowoż to, co dają młodsi, jak Różewicz, Bratny i inni... zamieszczani czy to w „Odrodzeniu", czy w „Kuźnicy", stoi na bardzo wysokim stopniu artystycznym. Niemniej pilnujcie się poeci, aby prozatorzy nie pozostawili was poza sobą.

Staff mówi ostatnie zdanie z uśmiechem, zapewniam więc, że się nie damy, że będziemy walczyli...

— Trudno mi cośkolwiek powiedzieć — ciągnie dalej — o moich planach na przyszłość. Praca moja jest w wielkiej mierze uzależniona od warunków mieszkaniowych i materialnych. W pogodne popołudnia bardzo mi dokucza w moim pokoiku słońce. Mimo to odtwarzam pewne, w części tylko zniszczone prace. Robię antologię Młodej Polski — to olbrzymia praca. Mam aż dwie koncepcje jej wykonania. Nie wiem, którą wybrać. Antologię robię na zamówienie wydawnictwa Michalskiego i Everta. Zgłosili się do mnie jako do unikatu, przeżytka, który jeszcze pozostał z tamtych dni.

Poza tym składam dwa wybory poezji Leśmiana i Kasprowicza. Moja monografia o twórcy „Hymnów" zaginęła.

Chciałbym zrobić antologię poezji międzywojennej, a następnie antologię poezji najmłodszej.

Niedawno ukazał się tom moich „Wierszy wybranych". Piszę historię mojego życia; jest to praca pamiętnikarska. Składam wreszcie nowy tomik wierszy pisanych ostatnio.

rozmowę przeprowadził

Tadeusz Sokół

POPULARNY WYKŁAD »KAPITAŁU« MARKSA
KAROL KAUTSKY
NAUKI EKONOMICZNE KAROLA MARKSA
stron 286 cena zł 80
Do nabycia we wszystkich księgarniach
»KSIĄŻKA«

WACŁAW KUBACKI

HEROICZNE POKOLENIE

Pisząc o heroicznym pokoleniu mam na myśli formującą się obecnie warstwę młodej polskiej inteligencji. Solidaryzuję się z tym młodym pokoleniem uczuciowo. Moje pokolenie, mój rocznik uniwersytecki dopiero teraz znajduje zarówno podstawę społeczno-polityczną, jak swoje ramy klasowe. Dla nas najważniejszą rzeczą jest to, że z warstwą określaną przez uczonych specjalistów jako inteligencja nic nas nie łączyło. Dopiero teraz zaczynamy być normalnym zjawiskiem społecznym. Dotąd byliśmy anomaliami; dorabiano nam sztuczne genealogie i krzywdząco zaszeregowywano według prymitywnych metod rewolucyjnych: jeśli ktoś nie ma brudu za paznokciami, to inteligent! Kryterium niesprawiedliwe: zbyt pochlebne dla inteligencji i zbyt upokarzające dla robotnika. Obecnie przebudowa ustroju państwowego daje nam do ręki właściwą metrykę socjalną: ludzie, którzy wszystko zawdzięczają swej pracy.

Dlatego narodziny nowej polskiej inteligencji przeżywamy jako swoje własne powtórne narodziny, jako fakt społecznej metempsychozy. Już trzeci rok patrzę na wstępującą do uniwersytetu młodzież, u której bez trudu poznaję swoje własne opóźnienie i zaniedbanie (wskutek pierwszej wojny światowej), swoje kłopoty finansowe i odzieżowe, pewną nieporadność towarzyską, wynikającą z przynależności do tzw. przed wojną „niższej sfery" i wreszcie swą dawną wiarę, że wszystko się pokona.

Nie mają mieszkań — myśmy dostawali mieszkania w domach akademickich po paru latach bezpłatnego terminowania i zasługiwania się w różnych agendach Bratniaka. Nie otrzymują stypendiów — a kto z nas wówczas na nie zasługiwał przed napisaniem pracy dyplomowej? Skarży się młodzież na brak książek. I to także pamiętamy. Nigdy nie zapomnę, jak kupno pewnego podręcznika uniwersyteckiego, bez którego nie można było uczestniczyć w seminarium jednego z profesorów, wywróciło mi cały budżet miesięczny do góry nogami.

W czasie moich studiów nie było na humanistyce paniczyków i — rozruchów uniwersyteckich. Tumulty akademickie zaczęły się później. Najliczniejszych kontyngentów bojowych dostarczały zawsze fakultety zamożniejsze: medycyna, prawo. Były to już czasy łatwego życia studenckiego. Bywało, że młodzieniec jeszcze do matury nie zasiadł, a już miał zarezerwowane miejsce w domu akademickim sanacyjnym lub narodowym, katolickim lub ewangelickim. Dezorganizacja była na wszystkich szczeblach doskonale zorganizowana!

Jest jednak różnica między naszymi startami. Od nas państwo żądało wszystkich możliwych papierków, utrudniało nam studia podnosząc opłaty, profesorowie na wykładach i przy egzaminach kładli nam w uszy, że niepotrzebnie „pchamy się" na uniwersytet, a przy opuszczaniu wszechnicy wręczał nam, w zastępstwie ministra WROP, sekretarz wydziału świadectwo bezużyteczności społecznej i patent na bezrobotnego. Dziś władze oświatowe do minimum ograniczyły wymagania i formalności. Obecnie czeka się na nowych ludzi. Nas wówczas wyraźnie się bano, byliśmy ciężarem. Za państwem szło społeczeństwo, wkładając na nas dodatkowe balasty. Obowiązywał standart ubrania, standart zabawy (stroje wieczorowe i balowe), standart wypoczynku i wakacji (narty, yachting). Dziś lekko przeskakują dziewczęta i chłopcy przez stosy tych dziecińśtw i bzdur. Na balach w ubiegłym karnawale tańczyli ludzie w jasnych garniturach, w pumpach i bryczesach i ani księżyc nie zaćmił się ze zgrozy, ani niebo nie grzmiało z oburzenia.

Na czym tedy polega heroizm tego młodego pokolenia, któremu ścieżki życiowe ścielą kwiatami na wyprzódki władze państwowe, samorządowe, związki zawodowe i partie polityczne? Na pewnym szlachetnym szaleństwie, na dziwnym romantyzmie, który, jak się okazuje, chwyta także twardych synów robotniczych i przyziemnych, czyli przy ziemi pracujących, synów chłopskich. Po co właściwie garną się do wiedzy te rzesze? Czy po to, aby sobie poprawić byt? Nic podobnego! Idą do ciężkiej pracy; czekają ich wyrzeczenia. Łatwiej i wygodniej być przecież dzisiaj naczelnikiem urzędu mieszkaniowego niż uczyć się prawa rzymskiego. Lepiej nawet być magazynierem w jakiejś instytucji rozdzielczej niż dyrektorem departamentu w ministerstwie.

Ci młodzi ludzie mogliby teraz zdobyć solidne podstawy życiowe przez dwa, trzy lata handlu, przemysłu lub przemyślności. Tymczasem ci fantaści zamiast pędzić żywot człowieka poczciwego, zamiast pisać scenariusze filmowe lub wydawać klasyków literatury — liczą pracowicie mięśnie i kości, kreślą profile i przekroje maszyn, uczą się form dawno zamarłych języków lub przyswajają swej pamięci daty zamierzchłych, nikogo nie obchodzących zdarzeń.

Ci ludzie mogliby teraz objąć różne wolne posady i utwierdzić się na nich po parutygodniowych kursach wyższych wtajemniczeń urzędniczych, jak się to działo po tamtej wojnie. Tymczasem młodzież ma niezrozumiałą ambicję stworzenia nowych kadr inteligencji, głównego i wielkiego sztabu naszej odbudowy narodowej.

Ta młodzież po ukończeniu studiów, po latach mozołów i wyrzeczeń zastanie aparat państwowy zapełniony przez służbowo ustalonych i etatowo nietykalnych „niefachowców", którzy zakorkują jej awans na przeciąg wielu lat, podobnie jak memu pokoleniu zatarasowali wszystkie drogi życiowe ustabilizowani niefachowcy z pierwszej wojny światowej.

Weźmy jednak wypadek najlepszy: wszyscy absolwenci uniwersytetów, politechnik i wyższych szkół akademickich otrzymają odpowiednie stanowiska. Czy to będzie awans społeczny dla córki chłopskiej, która zdobyła doktorat filozofii, że państwo da jej pensję równającą się sumie, jaką ze sprzedaży paru kur otrzyma jej siostra, która pozostała w swej chłopskiej klasie? Czy można nazwać karierą los syna robotniczego, który, po ciężkim znoju zostawszy dyrektorem liceum lub wizytatorem, otrzyma za swą miesięczną, ważną społecznie i odpowiedzialną pracę tyle akurat, ile zarabia dziennie jego niezdolny i nieambitny brat, który został zdunem lub szoferem. Jeśli ktoś ma wyobraźnię dość zuchwałą, to może sobie pomyśleć, jakby wzrosła dysproporcja, gdyby ów brat został krawcem lub kuśnierzem.

Każdy chyba przyzna, że w perspektywie dzisiejszych możliwości przejście robotnika lub chłopa do „sfery wyższej" praktycznie równa się jego degradacji materialnej, zmniejszeniu szans życiowych. Nie mówiąc już o tym, że taki bohaterski awans nie zawsze uchroni nowego inteligenta przed podejrzliwością zarówno klasy, którą opuścił, jak i międzyklasy, do której wszedł. Czy ryzykować tedy zarażenie się bakcylem rozpylonej w polskim powietrzu szlachetczyzny? Czy nie łatwiej byłoby pozostać w szeregach osobników, którzy obecnie nie okazują ochoty do niedojadania, niedosypiania, chodzenia w połatanych spodniach itp. przejawów inteligenckiego neoheroizmu.

Nie można nie wspomnieć, że obecnie odpadły najbardziej lukratywne spośród inteligenckich zawodów, tak zwane „wolne zawody". Po upaństwowieniu przemysłu i banków skończyły się miraże o lekkich fortunach. Na razie szaleją jeszcze lekarze, ale można wątpić, czy państwo pozwoli w przyszłości na takie paradoksy, żeby porada lekarska pochłaniała pracownikowi połowę pensji miesięcznej i żeby przyjście na świat nowego obywatela obchodzili rodzice jednoroczną żałobą, a to z powodu zajęcia przez komornika całorocznych poborów ojca rodziny na spłatę pretensji kliniki, ginekologa i akuszerki. Inteligencja próżnująca musi się zamienić w inteligencję pracującą. Inteligencja zaś pracująca prędzej czy później musi przejść na etat państwowy lub samorządowy czyli — społeczny. To jest jedyna droga podcięcia u korzenia wszelkich przerostów i jedyna droga uspołecznienia.

Młodzież studiująca dobrze zdaje sobie sprawę ze swych perspektyw życiowych, bo jest to przecież pokolenie, które w czasie wojny i bezpośrednio po niej z niejednego pieca chleb jadało. Można tedy rzec, iż świadomie wybiera w obecnej chwili gorszą cząstkę ewangeliczną: skromną, cichą pracę. Nikt bowiem się nie łudzi, że sytuacja gospodarcza świata poprawi się radykalnie w ciągu najbliższych dziesięciu lat.

Wybranie życia trudniejszego, to jest właśnie heroizm powstającej polskiej inteligencji. Awans społeczny nie jest tu bezpośrednim zyskiem lub nadzieją zysku w niedalekiej przyszłości. To raczej ofiara teraźniejszości dla lepszej przyszłości.

Wacław Kubacki

MARIAN JACHIMOWICZ

PIERŚCIEŃ

Znów wschodzi twój pierścień srebrny
Wieże z powietrza
Błądzą po ścieżkach wrażliwszych niż ciało

Na wygiętej łodydze wiszą pełnie
Tylko granat jest nowym kolorem

Gdy tak leżę ukrzyżowany gwiazdami
i załaczam się z ziemią nad nocą
pachną konwalie Drogi Mlecznej

Tu gdzieś leży głos zgubiony ptaka
i złotogłów nabrzmiały
Tu gdzieś grzywa powietrza faluje

Nowy jest tylko granat i pierścień smutnego srebra

Zdejm z szyi mojej swój piercień.

* * *

Powietrze piło z twej dłoni
Barwy biły o brzeg
Aureolą dotknęłaś krańców

Zwęziłaś później światło swej twarzy
świeciła jeszcze ręka
W sadzie przyćmionym pełgał jeszcze śnieg

Dotykam pilśniowych znamion
nocy zaległej po tobie.

POWRÓT

Wytoczyliśmy z lasu księżyc
Cieniom drzew bliscy
sobie dalecy

Zadźwięczała grusza samotnie dojrzała

Wracaliśmy po linii łamanej snu
Krajobrazem zieleni

Rzeki zniosły męty z mych oczu
Został wieczór błyszczący

A nie wiem czy był kto kiedy szczęśliwszy ode mnie
i bardziej rozgałęziony w sobie i innych

I tak rozerwany jak grzybnia gdy wypowie swój owoc.

* * *

Dziś pęka nów
Sieć konstelacyj pełna wilgotnych gwiazd
Na nitkach świateł pięści zeszklałe

Miasto zastyga w srebrne organy
i łuski rzek
rzek co pełzną po sercach kamieni
szeleszczą

Lecisz oderwany od łodyg

Barwa spłoszona

Czy wrócisz dymem spalonych gwiazd
obłokiem?

Dziś gwiazdy tak niskie
że uginają się od nich gałęzie

Tak niskie
że ranią ostre ich brzegi

A gdy się potkniesz
przesieją cię konstelacje.

O teatr ambitny

Na konferencji prasowej, zwołanej przez teatry krakowskie, przedstawiono program jasny, zdecydowany i konkretny. Kierownictwa teatrów powiedziały uczciwie, do czego dążą. Z tymi dążeniami winni się solidaryzować wszyscy, którym zależy na rozwoju polskiej kultury i polskiej sztuki.

Ustalono przede wszystkim podział pracy. Teatr Słowackiego będzie poświęcony poezji dawnej. Czy to ma znaczyć, że na placu św. Ducha należałoby wystawiać jedynie utwory pisarzy nieżyjących? Zaproponować można sformułowanie nieco inne. Teatr Słowackiego nie byłby teatrem prapremier, podobnie jak nie jest nim obecnie Komedia Francuska, jak nie jest nim angielski teatr narodowy „Old Vic". Na scenie tej będą natomiast żyły (i to żyły twórczo!) dzieła już wchłonięte przez kulturalną świadomość. Inne sceny pełnić będą funkcję ukazywania rzeczy n o w y c h. Taki podział wydaje się uzasadniony, potrzebny, a nawet konieczny.

Oczywiście, że wznawianie arcydzieł wcale nie oznacza kostnienia w bezruchu. Arcydzieła żyją, są w stałym rozkwicie. Twórczy aktor rozumie to najlepiej: Osterwa pokazał nam to na przykładzie „Przepióreczki", „Sułkowskiego", „Fantazego", „Pierścienia wielkiej damy", „Wyzwolenia", „Kordiana"; Jaracz, inscenizując komedie Fredry.

Zresztą jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że nasza tradycja inscenizacyjna jest stosunkowo młoda. Komedia Francuska i teatry brytyjskie pracują od kilku wieków nad sposobami interpretowania swoich klasyków. My zaczęliśmy wystawiać nasze arcydzieła zaledwie przed laty kilkudziesięciu. Ileż jeszcze zadań jest przed nami! Leon Chwistek, jeden z najgorętszych w Polsce nowatorów, był olśniony, gdy zobaczył we Lwowie schillerowską inscenizację „Kordiana".

Trzeba się także liczyć z faktem, że wielki repertuar był niemal całkowicie usunięty ze świadomości dużej części naszego społeczeństwa w okresie 6-letniej okupacji. Podczas egzaminów do szkół dramatycznych zdarzały się wypadki nieznajomości „Dziadów", „Hamleta", „Zemsty" i „Wesela". Teatr ma w tej dziedzinie palące obowiązki wychowawcze.

Inne sceny krakowskie będą poświęcone głównie (choć nie wyłącznie) twórczości współczesnej. Postanowiono wystawić sztuki, które opinia znawców uważa zgodnie za najambitniejsze, najśmielsze, najlepsze. Pesymiści już z góry kiwają ponuro głowami. Ale, na szczęście, przewidywania pesymistów — zawodzą. Przewidywania te opierają się na fałszywym założeniu, że poziom intelektualny naszej publiczności jest rzekomo fatalny, a jej aspiracje — płaskie i nieciekawe. Fakty przeczą tej krzywdzącej ocenie! Publiczność nasza tylko do czasu jest wyrozumiała. „Są granice, poniżej których szmira i banał przestają się w teatrze opłacać" — napisał słusznie Jerzy Zagórski.

Warto przytoczyć kilka faktów. W ubiegłym sezonie największe powodzenie osiągnął w Krakowie „Świętoszek", w Łodzi „Elektra", w Katowicach „Wieczór trzech króli", w Warszawie „Lilla Weneda". Sukcesem cieszyły się także: „Dwa teatry" „Pasażer bez bagażu", „Panna Maliczewska", „Candida", „Igraszki trafu i miłości", „Jajko Kolumba", „Zamach". Czy świadczy to o niskim poziomie naszej publiczności? Czy pesymiści nie dopuszczają się oszczerstwa?

Fakty inne. Nawet we Francji pewien typ rzekomych „znawców" odsądził od czci i wiary teatr Giraudoux, jako „niemożliwy" („insupportable"), bo rzekomo zbyt „literacki". Dziś wymienia się Giraudoux we Francji jednym tchem — z Molierem. Przykład inny: nikt z przedsiębiorców teatralnych nie chciał wystawić „Topaze'a" Pagnola, który przyniósł potem miliony! Ta sama historia powtórzyła się w Anglii z „Kresem wędrówki", u nas przed wojną z „Teorią Einsteina".

Jeśli więc teatr jest grą o wielkiej ilości niewiadomych — lepiej ryzykować w sposób szlachetny i piękny niż małoduszny i tchórzliwy. Trzeba grać dzieła najlepsze. Trzeba wystawiać współczesną twórczość polską i zagraniczną. Trzeba natomiast wyeliminować busfeketyzmy, „Muzyki na ulicy", „Jadzie wdowy" i „Ciocie z Honfleur".

Prof. Chwistek nazwał kiedyś teatr poezji „teatrem zrodzonym z zabawy". Pojmował zabawę najszlachetniej, najpiękniej — jako grę wyobraźni i myśli, olśnienia i upojeń, oczarowań i niespodzianek. Wojciech Bąk myśli o tym samym, żądając przygody duchowej i niebanalności w repertuarze teatralnym (Odpowiedź na ankietę miesięcznika „Teatr").

Program krakowskich teatrów próbuje sprostać tym wymaganiom. Realizacja tego programu nie będzie bynajmniej łatwa. Ale końcowe zwycięstwo wydaje się niemal pewne. Jeśli tylko nie zabraknie cnót najważniejszych: wytrwałości, uporu, nieustępliwości i odwagi.

wa

TADEUSZ BREZA

PORTRET BALZAKA

Przez cały ostatni rok po wszystkich dziennikach i tygodnikach, które zajmują się również literaturą, rozwijała się dyskusja na temat nowej literatury. Na temat tej literatury, która ma nadejść. Wynaleziono dla niej imię i wynaleziono dla niej ojca. Miała się nazywać realistyczna i miałą się wywodzić od Balzaka.

Na tę nazwę i na to nazwisko godzili się u nas najróżniejsi ludzie. I nie tylko u nas! Bo równolegle do naszej dyskusji w Polsce toczyły się identyczne dyskusje po całym świecie. We Francji, w Belgii, w Czechach, w Italii.

Wszystkie te dyskusje zaczynały się i godziły na jedno. Na to, że w latach międzywojennych ton nadawała literatura, która do życia miała się tak, jak sen do jawy. Taka literatura, która nie śledziła rzeczywistości, nie kontrolowała, nie patrzyła jej w ręce. Potem nastąpiła katastrofa! Oczywiście nie tylko z przyczyny, że literatura spuściła życie z oczu, ale ze współudziałem tego zaniedbania. Stąd odruch tak zrozumiały u tylu ludzi związanych blisko z literaturą. Odruch pretensji! I tym odruchem uruchomiony ciąg rozważań na temat urzetelnienia sztuki. Potrzeba czegoś takiego jest wyraźna. Przyczyny skłaniające bardzo poważne.

Teoria urzetelnienia, teoria realizmu, mimo że dość ogólnikowa, istnieje i jest pomocna. Palec jej pokazuje stronę, w którą należy iść. Najgorzej jest jednak z praktyką! Może naprawdę w praktyce zdołają pomóc wzory. I temu, który pisze i temu, który czyta. Pomóc przez spopularyzowanie pewnego typu powieści rzetelnej, realistycznej. Typu wzorowego, przykładowego.

Typ ten w jego najsoczystszym, pierworodnym wzorze zamierzyła na potęgę rozpowszechnić „Książka". Ta spółdzielnia wydawnicza w wielkich, jak na polskie stosunki, nakładach, wszczęła druk powieści Balzaka. Ukazały się już „Stracone złudzenia", „Dwaj poeci", „Cierpienia wynalazcy", „Blaski i nędze życia kurtyzany" oraz „Ostatnie wcielenie Vautrina". A potem kolejno mają wyjść wszystkie, tak świetnie przetłumaczone przez Boya-Żeleńskiego, tomy „Komedii ludzkiej".

Z pewnością podsycona równie wspaniałym materiałem ożywi się znowu dyskusja o realizmie. Utwory przyjdą później, poprzedzą je spory i słowa. Do tych słów chciałbym dać króciutkie przedsłowie. Naszkicować portret autora, o którego ludziach ze wszystkich stron zaczniemy teraz słyszeć.

* * *

Przed wojną od czasu do czasu, idąc za przykładem Leona Daudeta, wyzywało się wiek dziewiętnasty od głupich. Ale wiek ten nie był wcale taki głupi, na jaki wyglądał. A jeżeli nawet z wiekiem zgłupiał, trzeba mu przyznać, że zapowiadał się na genialne dziecko. I to nie dlatego, że na początku tego wieku powstało wiele potężnych ruchów, zasadniczych myśli i podstawowych książek, ale dlatego, że ten początek wydał paru prawdziwych nadludzi.

Zapewne nie przez czysty przypadek. Widocznie coś takiego musiało tkwić w atmosferze owych lat, coś takiego, co mogło ośmielić do nadludzkich poczynań. Chesterton powiada, że tym czymś był potężny napływ odrodzonej wiary w człowieka, który się wydarł z dotychczasowych, uciskających go form. Ta wiara tworzyła cuda. Cuda polegające na tym, że człowiek ze swych ograniczonych możliwości zaczynał czerpać w sposób nieograniczony.

Czerpanie z siebie bez ograniczeń, jakby nie było ludzkim możliwościom końca i dna, zdumiewa u tych nadludzi z początku XIX wieku. Nadludzi renesansu charakteryzuje to, że umieli robić wszystko. Nadludzi początku XIX w., że wykonali wszystko, co umieli. Zarówno wodzowie jak i twórcy! Zarówno Napoleon jak Dickens czy Balzak.

Ale, by zdać sobie sprawę, kim był naprawdę Napoleon, trzeba sobie uprzytomnić, czym była przed nim Europa. On jednak tak przesłonił sobą przeszłość, że się jej prawie nie pamięta. Nie pamięta się dawnej Europy, tak, jak się nie pamięta dawnej powieści przed Balzakiem. A tymczasem warto sobie przypomnieć, że to, co z Europą uczynił Napoleon, z powieścią zrobił dopiero Balzak. Przemaszerował cały jej kontynent, wstrząsnął nią, postawił w niej na nogi całą armię istot, które przedtem nie służyły w literaturze. Uczynił ją demokratyczną. — „To, co on zaczął szablą — zaprzysiągł sobie młody Balzak, mówiąc o Napoleonie — ja skończę piórem".

Balzak nie jest ojcem powieści, ale jest ojcem powieści nowoczesnej. Przed nim istniał gatunek o tej samej nazwie, lecz była to albo powieść awanturnicza, a więc nie dzieło sztuki, albo coś w rodzaju lirycznej spowiedzi, a więc nie powieść. Ten ostatni rodzaj ni to studiów, ni to poematów prozą, bywał czytany tylko przez kwiat społeczeństwa. Natomiast powieść historyczno-awanturniczą przeżywali wszyscy, ale to nie było przeżycie artystyczne.

W ówczesnych czasach uważało się, że sztuka to może być tylko poemat, essay, albo tragedia, a więc same rodzaje smakowane jeno przez warstwy najoświeceńsze. Z tym jeszcze, że jeśli chodzi o teatr, to rodzaj ten dostępny był wyłącznie mieszkańcom wielkich miast.

Wyzwolić się z tych warunków postawionych artyście, stworzyć albo przerobić jakiś rodzaj tak, aby mogli mieć z niego pociechę wszyscy, taki rodzaj, do którego każdy miałby śmiałość, rodzaj, z którego można by korzystać nawet będąc zmęczonym pracą, a więc rodzaj prawdziwie egalitarny, dać taki rodzaj i uczynić go sztuką — oto dopiero rewolucja. Balzak jej dokonał.

Czy pojął to? Czy tego właśnie chciał? Chyba nie. Nie mogąc się otrząsnąć z przesądów czasu, roił sobie, że w najlepszym razie tworzy essaye obyczajowe czy filozoficzne. A kiedy go ogarniały wątpliwości, myślał, że unieśmiertelni go teatr czy wspaniałe małżeństwo. Jako dwudziestoletni chłopiec wyprodukował tragedię wierszem o Cromwellu. Katastrofalną i katastrofalnie przyjętą.

„Imaj się czego chcesz, byle nie literatury" — zawyrokowano po niej. Mimo to widmo tego poronionego Cromwella, duch „tragedii klasycznej" nawiedzać będzie przez całe życie Balzaka, jako rodzaj literacki dopiero uświęcający. Szczęściem — na to, by go poważniej wywoływać, nie będzie czasu.

Balzak był zawsze zapracowany. Przywalony pracą zarobkową. Ale jak Szekspir, który na uboczu swej twórczości dramatycznej splatał poematy licząc, że one dopiero zapewnią mu sławę (bo w jego epoce teatr to było coś jak dziś kabaret), podobnie Balzak, tylko że na odwrót, ten znowu, aby się unieśmiertelnić, marzył o teatrze, albo o wychuchanych essayach, walił zaś swe powieści jedną po drugiej, głównie aby się wyzwolić z „przeklętych długów". Błogosławmy to przekleństwo jego życia! Choć serce się ściska czytając słowa wypowiedziane przez niego na dwa lata przed śmiercią: „Prawdę mówiąc, nie wybiłem się!"

Praca, długi i pani Hańska — oto w trzech słowach życie Balzaka. Na początku były długi! Wpędziła w nie Balzaka niby trzeźwa i rozsądna rodzina, ponieważ błagała go, by rzucił pisanie i zabrał się do czegoś poważnego. Więc zabrał oszczędności rodziców, dodał do tego pieniądze najbliższej przyjaciółki, zapożyczył się jeszcze na boku i kupił drukarnię. Po kilku straszliwych latach, których echo znajdziemy choćby w „Cezarze Birotteau", bankrutuje i zostaje winien ludziom dziewięćdziesiąt tysięcy franków. A wtedy wyrównywało się rachunki, nawet żyjąc z pióra. Bo dług choćby najdawniejszy szedł za człowiekiem krok w krok, w każdej chwili gotów mu wszystko zabrać a jego samego wpakować do więzienia. Balzak więc spłacał. I z pewnością byłby się z długów po kilku latach wyzwolił, gdyby miał anielską cierpliwość wspomnianego Birotteau (nawiasem mówiąc, drukowanego w odcinkach za olbrzymią na ówczesne czasy sumę 20 tysięcy franków).

Ale Balzak tylko część swoich honorariów zużywał wprost na spłatę, resztę rzucał w spekulacje, zawsze fantazyjne, a najczęściej nieszczęśliwe. Pieniądz go fascynował. Może narodził się w nim jego kult, gdy pędził w Paryżu pierwsze lata nędzy, w tym ubożuchnym, tylekroć potem przybudowywanym przez niego do literatury, pokoiku.

W jego książkach podzwania pieniądz. Korespondencja ustawicznie o niego zatrąca. Wciąż chodzą mu po głowie jakieś kombinacje. To wydanie tanich klasyków, to kupno od-

lewni czcionek, to projekt domieszek do papieru, żeby uczynić jego produkcję tańszą. Balzak za bezcen nabywa arcydzieła, które się wciąż okazują falsyfikatami, chce gotowe dęby eksportować z Polski do Francji. Traci trzy miesiące najgorętszego czasu na podróż na Sardynię, bo tam mają być kopalnie srebra nie wyeksploatowane do dna przez Rzymian.

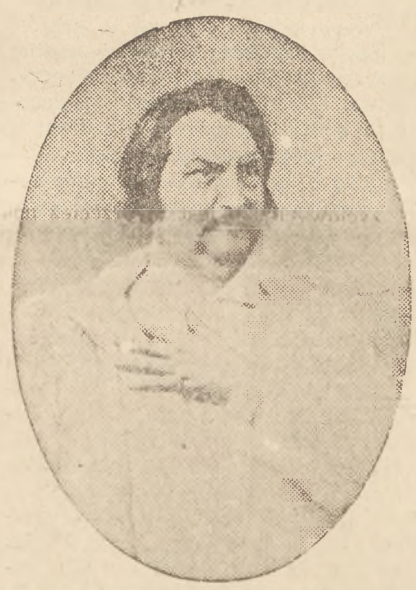

Niektóre z tych pomysłów okazują się dorzeczne, ale nigdy dla samego ich autora. Nawet dom, który pisarz kupuje, dosłownie rozłazi się na boki, zbudowany na glinie. Jego mury się kruszą. Tak jak wszystko, czego się Balzak tknie, poza — literaturą. Ona jedna mu służy.

Ale nie za darmo! Nazwano go „galernikiem biurka". W dwadzieścia dwa lata dał sto książek. Nie pisanych od ręki! Balzak męczył sie nad

korektami. Uzupełniał, mazał, motał, skreślał. Zecerzy zastrzegali sobie: „Tylko godzinę Balzaka dziennie". Takie to były poprawki! A podobnych korekt zdarzało się — weźmy nowelę „Piotrusię" — po siedemnaście. Wstawał o piątej. Pisał do dwunastej. A potem do piątej po południu korekty. Zapijał się czarną kawą, smolistą, gęstą jak żywica. Ona go wreszcie zabije.

Skarży się na swój los. Na nic nie ma czasu. Traci przyjaciół. Trudno mu o kochankę zdolną nagiąć się do jego trybu życia. I on, który tak wielbi świat, może się w końcu pławić w jego rozkoszach tylko przez prokuracje swoich bohaterów. „Pisać więcej — powiada w jednym z listów do matki — to fizyczne niepodobieństwo!" I wciąż w pośpiechu i wciąż drobiazgowo staranny! Waży każde słowo, wykłada na korekty i czas i pieniądze, choć grunt finansowy pali mu się pod nogami. Łudzi się nadzieją, że aby jeszcze rok! Ale dług zewsząd odrasta. Wyzwolenie ucieka jak horyzont.

„Wiesz, jakich sposobów się chwycę, żeby żyć tanio? — woła na kilka lat przed śmiercią do siostry. — Wydatki na życie sprowadzę dziennie do franka!" — „I trzeba było dopiero kobiecej pomocy, — jak z niezgrabną powagą rzekł Zola — aby Balzak mógł się do trumny położyć jako człowiek wypłacalny!"

Tą kobietą była Ewa z Rzewuskich Hańska. Żona wołyńskiego magnata, wielka dama, piękna, inteligentna, kulturalna. Między nią a Balzakiem zaczęło się od listów. Przy czym pierwszy jej list napisała za nią guwernantka francuska, którą miała w domu. A Balzak, jak zawsze zapracowany, aby odpowiedzieć, posłużył się piórem swojej przyjaciółki. Po półtora roku nastąpiło umówione spotkanie. Za granicą, w pewnym parku. Pani Hańska na widok pana, który był grubas, krótki, o twarzy jak dynia i cerze jak burak, podobno krzyknęła w duchu: „Jezus Maria! Byle to nie był ten!" — Ale to był ten. To był ten, o którym potem po latach pisała: „Jak nie wyrazić wszystkiej wielkości i dobroci, jaka jest w tym człowieku! Jestem zbyt szczęśliwa. Jestem niegodna takiego szczęścia!" — On zaś, kiedy owdowiała, tak pragnął małżeństwa z nią, że wołał: „Jeżeli nie będę wielki przez „Komedię Ludzką", będę nim przez ten sukces". Ale jakże późno przyszedł! Bo dopiero na sześć miesięcy przed śmiercią, w marcu 1850 roku, Balzak wydaje z siebie krzyk radosny. Jest — „u szczytu szczęścia". — „Diament Polski i klejnot tej starej i świetnej rodziny Rzewuskich" został mu zaślubiony.

„Świadkami byli — pisze — hrabia Jerzy Mniszek i hrabia Gustaw Olizar. Hrabina Anna (córka) prowadziła matkę". „Skojarzył moje małżeństwo ksiądz hrabia Czaruski, we wszystkim podobny do spowiednika księżnej d'Angoulême". Trudno! Balzac, jak choćby i Proust, cierpiał na takie uderzenia błękitnej krwi do głowy. Z chłopskiego Balzaka samozwańczo się uszlachcił, drzwiczki powozu ozdobił herbem starożytnej rodziny Balzaków d'Entragues. — „Tym gorzej dla nich!" — odrzekł komuś, kto mu dowiódł, że od nich nie pochodzi. Ale nie przestał. Ten dobry, mądry, miłosierny człowiek gotów był jak bankierowa Nucingen, jedna z córek „Ojca Goriot", „wychłeptać wszystko błoto między swoją ulica a ulicą, gdzie by stał pałac jakiej księżnej", aby się do niej dostać.

Ale zanim przyszła sława, Balzak nawet marzyć nie mógł o bywaniu w wielkim świecie, bo nie miał pieniędzy; a kiedy przez swoje książki zyskał sławę i pieniądze i wszystkie drzwi same przed nim stanęły otworem, spostrzegł, że na świat nie ma czasu. Coraz rzadziej zachodził do salonów. — „Było to prawdziwe święto, kiedy się zjawiał" — pisze o nim pani de Girardin. Mimo to wielkie nazwiska nic nie straciły dlań ze swego uroku. Do końca życia całując rękę byle margrabiny będzie myślał, że Pana Boga złapał za nogi.

A tymczasem to nazbyt żywe przejęcie się warstwami utytułowanymi, po trosze zaszkodziło w życiu jego sprawie. Nie dlatego, że kładło mu w usta naiwne okrzyki i zmuszało go nieraz do straty czasu i pieniędzy, ale dlatego, że ówcześni błękitni Paryża uznali, że ich świat został w powieściach Balzaka sportretowany bez znawstwa, tym wyrokiem szkodząc rozrostowi sławy Balzaka we Francji.

Jeszcze po jego śmierci dwie powagi krytyczne będą się brały za łby w sporze o to, czy księżna (tak jak u Balzaka) może powiedzieć „he!" Ale zagranicy to było obojętne, również prowincja nie potrzebowała, tak jak Paryż, aprobaty wielkiego świata. Poza wielkim światem cała jego reszta, to jest cały świat przyjął Balzaka z najwyższym uznaniem. — „Przybyły do mnie z Austrii trzy rodziny niemieckie, żeby mnie zobaczyć!" — opowiada Balzak. Kiedy był we Wiedniu, ktoś z tłumu przecisnął się, aby ucałować „rękę autora, która napisała Serafitę". W Petersburgu na dźwięk anonsowanego nazwiska pisarza, który wchodził do salonu, pokojówka z wrażenia upuściła tacę. Dla tych wszystkich ludzi braki w Balzaku i skazy na jego dziele nie zmieniały w niczym faktu, że był wielkością.

I my dzisiaj podobnie sądzimy. Nie jak Sainte-Beuve, który powiadał, że Balzak daje „charaktery wyborne, styl średni, fabułę złą", a tylko ledwie, że wspominamy o fabule, napomykając, że grzeszy brakiem smaku, o stylu mówiąc, że w niektórych miejscach bywa zbyt bombastyczny, by — załatwiwszy te sprawy — móc już bez zastrzeżeń rozwodzić się nad genialnością postaci Balzaka. Styl? — „Baron Châtelet — pisze Balzak — ten motylek cesarstwa runął całym ciężarem na biednego poetę". Albo: „Grandet rzucił się na złoto jak tygrys na śpiące dziecko". Wymykały mu się podobne zdania.

„Patos jego był przesadny, brak mu było smaku, erudycja jego była pośpieszna, ręka w obrazie obyczajów wielkiego świata ciężka" — oto cechy w Balzaku, które (wyliczam je, idąc za największym polskim balzakistą, Boyem-Żeleńskim) tak raziły Prousta. To prawda, że nasze poczucie ładu oburza się na podobne braki złączone w jedno z równym geniuszem, ale nie powinno się oburzać na to połączenie nasze poczucie rzeczywistości. Bo przecież w ten sposób bardzo często bywa na ziemi. Królem stworzenia jest człowiek i w swoim dziele Balzak postawił człowieka na pierwszym miejscu. Piękność ziemi nas zachwyca i piękność tła zachwyca nas w Balzaku. Ale w życiu również fabuła każdej poszczególnej egzystencji rzadko kiedy bywa mądra i pełna smaku. Tak samo jest u Balzaka.

Z postaci Balzaka przyjęło się uważać ojca Goriot za kluczową. Ona ma niejako symbolizować autora. Ale to nie wydaje się trafne. Bo ten Goriot, nazwany przez Balzaka „Chrystusem ojcostwa", jest jak król Lir ojcem upadku. Balzak zaś dla swych figur to nie ojciec, który kocha, ani ojciec, który drży, ani ojciec, który się poświęca. Ale to ojciec, który płodzi, który tworzy na prawo i lewo. To — ojciec marnotrawny. Albo — „po prostu ojciec". Pani Hańska wzruszyła go, gdy pracował nad swoim ewangelicznym „Lekarzem wiejskim", przysyłając mu „Naśladowanie Chrystusa". Powinna mu była przysłać „Naśladowanie Boga Ojca". Tylko, że taka książka wówczas nie istniała. Dopiero Balzak ją stworzył.

Budziło zawsze podziw, że Balzak w krótkim czasie napisał tyle arcydzieł. Ten podziw jednak nie kieruje się ku temu co najważniejsze. Bo najważniejsze to dopiero to, że do dzieła Balzaka weszło 1000 osób. Tysiąc osób z krwi i kości, tysiąc ludzi tak prawdziwych, że możemy potem wokół siebie pokazywać palcem, mówiąc: oto Rubempré, oto Séchard, oto baron Hulot. Bo oni są żywsi od żywych. — „Konsekwentne studiowanie Balzaka — rzekł Oscar Wilde — zmienia naszych przyjaciół w cienie, a naszych znajomych w cienie cieniów". Dlatego odważono się powiedzieć, że, jeśli idzie o produkcję ludzi, Balzak jest po Bogu drugim.

Co stało u źródeł tego ojcostwa? Tej niebezpiecznej płodności, przed którą czuł respekt i obawę nawet Balzak. On sam w „Ludwiku Lambert" napisał, że to „dzieło i jego wykonanie zostało zabite przez nadto wielką obfitość owej zdolności". Ona to doprowadziła w książkach Balzaka do niesłychanej gęstości stanu zaludnienia. Tak, iż wystarczyłoby go na dziesięć razy tyle powieści.

Tajemnicy Balzaka nie wyjaśnią żadne teorie. Ani cudze, ani jego własne. Bo nie to ważne, czego chciał, ale że — mógł. Pragnął stwo-

rzyć dzieło wedle zasad i przesłanek epoki. Stworzył dzieło, które ją przerasta, ponieważ w ogóle nie mieści się w czasie. — „Społeczeństwo francuskie — oświadczył we wstępie do „Komedii ludzkiej" — pisać będzie swą historię, a ja będę trzymał pióro". Jak Buffon, który w jednym dziele zamknął cały świat zwierzęcy, Balzak zamierzył również w jednym zamknąć świat ludzki. Tylko że Buffonowi — trapił się — kiedy już miał opisanego lwa, na lwicę wystarczało kilka wierszy. A tymczasem kobieta to nie wyłącznie samica! I jeszcze jedno. „Zwierzęta prawie nie posiadają ruchomości"! A człowiek? Mimo te różnice, Balzak sam się będzie wodził na pokuszenie przyrodniczego ujęcia, aby swymi wyjaśnieniami radować Zolę i tumanić Brunetière'a prawiącego, że Balzak to sama obserwacja. Lecz już nie nas! Gdyż dobrze wiemy, że geniusze, tak jak wariaci i zakochani, nie umieją się tłumaczyć. Nie mają na to dość rozsądku. Siła, która nimi włada, jest ślepa. Nigdy się nie dowiemy, skąd płynie. Zobaczmy chociaż, co sprawia.

Ludzi! Ale właśnie nie takich rozłożonych na spostrzeżenia, lecz wziętych od wewnątrz. I dlatego, jak to pięknie określił Baudelaire, „tak do głębi kolorowych jak sen". „Pełnych życiowego żaru", bo to „dusze wolą nabite jak broń". Obserwacja jest bezradna, aby oddać w człowieku żar i wolę. Muszą się one z autora przelać do postaci wprost. I u Balzaka aż się od nich przelewa. Człowiek przestaje mu wystarczać. Zaczyna tworzyć nadludzi. Pojawia się Vautrin. Najpotężniejsza z kreacji Balzaka. Ów, na odmianę, Lucyfer Ojcostwa. Człowiek żywioł, człowiek odezwa, człowiek-wrzask, którym uczą o sobie ludzie spod ziemi i uczucia spod ciemnych gwiazd.

Balzak posiada jeszcze jedną boską właściwość. Balzak karze. Nie przez jakiś „moralizm, socjalizm i pastoralizm", (by się posłużyć szkolarskimi terminami na trzy twórcze epoki u George Sand). Balzak karze z innych względów. Zarzucano mu rozkładowość, ponieważ babrał się w grzechach i opisywał je ze zrozumieniem. On wyrzekł na przykład to zdanie o kradzieży, że ona jest „prawie naturalnym uczuciem w człowieku". Ale u Balzaka to jej bynajmniej nie uświęca. U niego zło musi się zawsze źle skończyć. Tego go nauczyła obserwacja.

Uznano za chlubę Balzaka, że wprowadził do literatury sprawę kobiety i sprawę pieniądza. Ale dziś nie to wprowadzenie wyróżnia go spośród wszystkich genialnych kontynuatorów rodzaju, który postawił na nogi. Lecz coś, co w życiu jest jeszcze cenniejsze od kobiet i pieniędzy — wiara w człowieka. Ta wiara w człowieka i ten pozytywny stosunek do życia, którego nie znajdziemy ani u Galsworthy'ego, ani u Manna, ani u Prousta. Ci bowiem opowiadają o tym, jak się wali świat Forsytów czy świat Buddenbrooków. A Balzak pisał o tym, jak on powstawał. Kończył na tym punkcie, od którego tamci zaczynali. Nie wątpił o człowieku, bo gardził zwątpieniem. Nie wątpił o Bogu.

„Piszę w brzasku wielkiej prawdy jaką jest religia". To jego słowa: „Wielcy ludzie są na to, aby podawać do wierzenia; aby obudzić powątpiewanie wystarczy byle mały człowiek". — To również jego słowa! Obok religii stawiał monarchię. W teorii!

Fakt, że się przejmował religią, miał mały wpływ na jego osobiste życie. Większy już wpływ miały jego wierzenia monarchistyczne. W obrębie tych wierzeń przez pewien okres swego życia z furią praktykował. Ale chociaż odmawiał wszędzie i na głos to swoje „Wierzę w Króla", nie ściągnął na siebie uwagi monarchistów. Żartowano sobie z niego, że Boga i króla trzeba mu głównie na to, by mu przychodzili z pomocą, kiedy nadto coś zaplącze w akcji powieści. Ale nawet jeżeli ten dowcip jest zabawny, nie jest on trafny. W powieściach Balzaka rzadko jawi się deus czy rex ex machina. Powagą obie te instancje cieszyły się u Balzaka z zupełnie innych względów. Ze względu na wielkie znaczenie, jakie mają dla ludzi. Ze względu na znaczenie, jakie przypisują im ludzie. Psychologiczna siła tych instancji jest w ludziach potężna. Balzak widzi, że w ludziach wiele się dzieje z mocy tkwiących w nich tych dwu pojęć. Z Balzaka żaden teoretyk poznania! To — praktyk. Praktyk życiowy, dla którego jedynym sprawdzianem istnienia będzie to, czy jakaś rzecz, uczucie albo idea ma wyraźny i stały kurs u ludzi. Cóż jest więc rzeczywiste dla Balzaka? To, co jest ważne dla ludzi i to, co się da opisać.

Rejestrował więc wszystko, co ma kurs i wszystko, co ma wartość. Kiedy widział przy jakiejś wartości skupioną gromadę ludzi, przepychał się i pożądał. W ten sposób dał się porwać wszystkim ówczesnym wielkim pasjom ludzkim. A kiedy stał się człowiekiem, przez którego ręce przepływały duże pieniądze, dał się porwać wszystkim pasjom ludzi, którzy mają pieniądze. Ta właściwość nie różni go w niczym od tych wszystkich twórców, którzy na swojej twórczości zrobili karierę i pieniądze. Różni go to, że będąc w najwyższym stopniu pobudliwy na to, do czego się ludzie masowo palą, do końca życia zachował nieskażony smak do wartości, które go umiały porwać indywidualnie, przez nikogo nie oklaskiwane. Radował się nimi. A nawet buntował przeciw ich samotności. I w takim buncie okazywał i otwartość i wielkość i szlachetność i pokorę. O jedynym współczesnym pisarzu, który mógł się z nim równać, a którego współcześni, a przede wszystkim krytycy mieli za absolutne zero, pisał, rozpowiadał i drukował: „Wszystko u Stendhala jest doskonałe, szybkie i rzeczywiste".

Ugaszczał więc w swojej wrażliwości wszelkie walory. Potrafił to, co potrafi bardzo niewielu pisarzy. Przejmował się najpopularniejszymi wartościami z tą samą siłą, z jaką przejmował się wartościami dla niewielu. Wartościami jawnymi i wartościami tajnymi. Wartościami z powietrza i wartościami z żelaza. Wartościami dla jednostek i dla całych społeczeństw. Dla wszelkiej ludzkiej natury! I dlatego może ta natura, jak powiedziano, „zleciła mu napisanie przedmowy do swego dzieła".

Tadeusz Breza

STANISŁAW A. MAJEWSKI

Wytyczne i podstawy polskiego planu gospodarczego

Od dłuższego czasu opracowywany i zapowiadany plan gospodarczy ukazał się kilka dni temu w druku „jako projekt uchwały KRN w sprawie narodowych planów gospodarczych i planu odbudowy gospodarczej w okresie 1. I. 1946 — 31. XII. 1949" *).

ZASADY I WYTYCZNE

Koncepcja pierwszego polskiego planu gospodarczego zrodziła się na tle specjalnych warunków gospodarczych i społecznych, w jakich znalazła się Polska po zakończeniu działań wojennych. Te specjalne warunki są powszechnie znane: ogromne zniszczenia dokonane przeważnie świadomie i celowo przez najeźdźcę i okupanta, w związku z tym straszliwa pauperyzacja szerokich mas ludności i obniżenie się jej stanu zdrowotnego — z jednej strony, reforma rolna i nacjonalizacja przemysłu oraz odzyskanie ziem zachodnich — z drugiej strony. Warunki te narzucały nieodparcie zasady, na których oprzeć należało planowanie gospodarcze. Pauperyzacja ludności i groźba dalszego, już katastrofalnego pogorszenia się zdrowotności powszechnej zmuszała do skoncentrowania uwagi na zagadnieniu konsumcji, czyli do przyznania pierwszeństwa odbudowie przemysłu wytwarzającego artykuły pierwszej potrzeby. W pewnym sensie była to konieczność dramatyczna. W języku zwyczajnym oznaczało to bowiem, że zanim będzie można przystąpić do odbudowy i rozbudowy przemysłu produkującego środki wytwórczości, trzeba najpierw umożliwić ludności pracującej nabywanie najniezbędniejszych przedmiotów użytku codziennego, skromnej odzieży i obuwia oraz zdobycie dachu nad głową i ciepłego kąta na zimę i — last but not least — najedzenie się do syta.

W ogólnie deficytowym stanie powojennym naszej gospodarki Ziemie Odzyskane stanowiły pozycję o pierwszorzędnym znaczeniu, przejęliśmy bowiem na nich duże bogactwa naturalne i wysoko rozwinięty aparat produkcyjny, którego cofający się wróg nie zdążył zniszczyć z powodu błyskawiczności ostatniej ofensywy. Dzięki temu plan mógł, mimo pierwszeństwa przyznanego przemysłowi konsumcyjnemu, przewidzieć jednocześnie rozwój produkcji środków wytwórczych, znacznie przekraczający stan w r. 1938. Jak najrychlejsze zaludnienie Ziem Odzyskanych, ich scalenie gospodarcze z ziemiami dawnymi, maksymalna eksploatacja ich bogactw naturalnych i aparatu produkcyjnego — to druga naczelna zasada pierwszego planu gospodarczego.

Trzecia zasada wynikała z przeprowadzenia reformy rolnej i nacjonalizacji kluczowych przemysłów. Te doniosłe reformy społeczne stworzyły dopiero nieodzowne przesłanki umożliwiające planowanie gospodarcze w ogóle, usunęły one bowiem z życia gospodarczego te czynniki, które z istoty swej przeciwne były planowaniu gospodarczemu i zarazem miały dosyć siły i wpływów, aby swemu sprzeciwowi nadać całkiem konkretny wyraz. Jednakże nacjonalizacja przemysłu objęła tylko większe warsztaty pracy, zatrudniające od 50 pracowników najemnych wzwyż, a reforma rolna rozdzieliła wywłaszczone majątki obszarnicze między bezrolnych i małorolnych. Innymi słowy, reformy społeczne pozwoliły zachować sektor gospodarki prywatnej o bardzo dużym znaczeniu, obejmujący całe nasze rolnictwo i rzemiosło oraz mniejsze warsztaty przemysłowe. Wynikało z tego, że planowe działanie gospodarcze musi być dwojakiego rodzaju: bezpośrednie, jeżeli chodzi o sektor znacjonalizowany lub uspołeczniony, i pośrednie, jeżeli chodzi o rozległy sektor prywatny. To pośrednie oddziaływanie autorowie planu pojmują jako — że tak powiemy — przyjazne współdziałanie.

Sektor państwowy będzie zasilał sektor prywatny w wytwory przemysłowe. Sektor zaś prywatny pracować będzie w ramach określonych drogą aktów prawnych i jego działalność będzie regulowana przez zarządzenia polityczno-gospodarcze, które ją skoordynują z wytycznymi narodowego planu gospodarczego.

Jak widzimy, polski plan gospodarczy różni się całkowicie pod względem naczelnych zasad od radzieckiego planu pierwszego pięciolecia, który kilka miesięcy temu przedstawiliśmy na łamach tego pisma.*) Daleki on jest od wszelkiego naśladowczego nowinkarstwa i przy ustalaniu hierarchii ważności celów kierował się wyłącznie najpilniejszymi, rzeczywistymi potrzebami kraju. Dlatego słusznie został określony jako narodowy plan gospodarczy. Plan, który ukazał się teraz w druku, ma charakter ramowy i tymczasowy; przedstawiony on został KRN jako projekt **uchwały** **). Pozycje świadomie na razie pominięte, zostaną opracowane i uzupełnione do końca roku bieżącego; wówczas ostatecznie ustalony pierwszy plan zostanie przedłożony ciału ustawodawczemu jako projekt ustawy. Zasady jednakże pozostaną niezmienione. Zapoczątkuje on serię planów gospodarczych. I tak już w okresie i w wyniku realizowania pierwszego planu gospodarczego skonstruowane zostaną zręby planu na dalszą metę, który siłą rzeczy opierać się będzie na zmienionej sytuacji wyjściowej.

CELE I ZADANIA

Jak wspomnieliśmy, głównym celem planu gospodarczego jest zlikwidowanie powojennej pauperyzacji i niedokonsumcji oraz zapobieżenie w ten sposób jej groźnym konsekwencjom. W roku 1949 powinniśmy, jeśli idzie o przeciętne spożycie ludności na głowę, na ogół znacznie przekroczyć stan przedwojenny:

Wyszczególnienie	Jednostki miary	1938	1946	1947	1948	1949	W porównaniu z r. 1938
Pszenica	kg	43,4	15	28,8	33,9	47	108%
Żyto	„	170	105	148	158	164	96%
Ziemniaki	„	248	175	202	248	248	100%
Cukier	„	12,2	7	10,8	13,6	17,7	145%
Mięso wołowe . .	„	6,9	3	3	3	3,1	45%
„ wieprzowe .	„	12,9	9	15,3	38	36,5	283%
Drób	„	1,1	0,5	1	2,4	2,9	264%
Ryby słodkowodne	„	0,3	0,25	0,3	0,4	0,45	150%
„ morskie . .	„	0,57	2,5	2,5	2,6	3,3	579%
Tłuszcze zwierzęce	„	3,4	3	3,7	6	8,8	259%
Mleko	litrów	256,5	130	162	176	184	72%
Jaja	sztuk	114,3	90	104	240	365	319%

Z powyższej tabeli widać, że w dziedzinie podstawowych artykułów żywnościowych przewidziany jest nieznaczny wzrost spożycia pszenicy przy nieznacznym zmniejszeniu spożycia żyta, bardzo duży wzrost spożycia tłuszczów wieprzowych (o 159%), mięsa wieprzowego (o 183%), cukru (o 45%), jaj (o 219%), ryb morskich (o 479%) przy jednoczesnym obniżeniu się spożycia mleka, a więc i masła i sera (o 18%) — w porównaniu z r. 1938. Średnia dzienna wartość odżywcza artykułów żywnościowych przeciętnie konsumowanych będzie w r. 1949 nieco niższa, a ich wartość cieplna nieco wyższa aniżeli w r. 1938. Mówiąc zwyczajnym językiem — będziemy w r. 1949 jadali posiłki o innych składnikach, aniżeli przed wojną. W szczególności będzie się jadać przeciętnie nieco mniej chleba, a więcej bułek, mało masła, sera i mleka, a więcej tłuszczów wieprzowych i cukru, mniej mięsa wołowego, a więcej wieprzowego, ryb morskich i jaj. Przyczyna tej zmiany tkwi w olbrzymiej dewastacji pogłowia bydła rogatego. Zrównanie z poziomem przedwojennym wymagałoby trzykrotnego powiększenia tego pogłowia — z 3 350 000 jednostek, które posiadamy obecnie, na 10 015 000 jednostek przed wojną — w obecnych granicach kraju. Tak wielki przyrost naturalny jest niemożliwy w ciągu lat czterech.

Z tego samego powodu będziemy mieli niedobór w dziedzinie skór twardych (—11% w porównaniu z 1938 r.). Jeżeli chodzi o inne wyroby przemysłowe pierwszej potrzeby, plan przewiduje wzrost przeciętnego spożycia: tkanin wełnianych o 100%, krajowych wyrobów walcowanych o 138%, węgla o 150%, papieru o 58%, papierosów o 157%, zapałek o 166%; w tkaninach bawełnianych i jedwabnych osiągniemy tylko nieznaczny wzrost spożycia w porównaniu z r. 1938.

Produkcja węgla, energii elektrycznej, surówki i stali jest współcześnie miernikiem ogólnego potencjału przemysłowego kraju, warto więc przyjrzeć się cyfrom przyrostu produkcji, przewidywanym przez plan w tej dziedzinie:

Wyszczególnienie	Jednostki miary	1938	1946	1947	1948	1949	W porównaniu z r. 1938
Energia elektryczna	mil. kWh	3 880	3 300	6 000	7 000	8 000	206%
Węgiel	tys. t	38 100	46 000	60 000	70 000	80 000	210%
Surówka	„	880	650	800	1 200	1 300	147%
Stal surowa . . .	„	1 440	1 100	1 400	1 750	2 000	139%

Pierwsze trzylecie będzie okresem odbudowy kraju. W oparciu jednakże o aparat produkcyjny i bogactwa naturalne Ziem Odzyskanych plan przewiduje również budowę nowych zakładów i urządzeń. Są to albo zakłady konieczne dla stworzenia zharmonizowanej jedności gospodarczej z nowej, powojennej struktury kraju, albo też zakłady i urządzenia pomyślane jako filary dalszych planów gospodarczych; budowa ich już obecnie musi być rozpoczęta, gdyż potrwa wiele lat.

Projektowane są następujące nowe zakłady przemysłowe: elektrownia w Miechowicach o 150 MW i w Gorzowie o 30 MW, fabryki aparatów elektrycznych, materiałów izolacyjnych, kabli i przewodów, żarówek (zamiast zniszczonych fabryk „Philips" i „Tungsram"), budowa sieci Śląsk—Łódź—Warszawa o napięciu 220 tys. V, nowa koksownia, trzy nowe walcownie, fabryka narzędzi rolniczych w Dobrym Mieście na Mazurach, fabryka samochodów ciężarowych w Szczecinie, fabryka benzyny syntetycznej w Dworach itd., itd. Tabor wagonów towarowych osiągnie w roku 1949 — 200 tys. jednostek, czyli wzrośnie o 33% w porównaniu z r. 1938. Park samochodów ciężarowych liczyć będzie w 1949 r. 41 400 jednostek (w r. 1938 liczył on 6 800 jednostek). Produkcja maszyn rolniczych wzrośnie w ostatnim roku planu o 183% w porównaniu z przeciętną produkcją w latach 1937—1938. Biorąc pod uwagę znaczne zwiększenie produkcji energii elektrycznej i węgla, produkcja dóbr wytwórczych na głowę ludności powinna przeszło dwukrotnie przewyższyć poziom osiągnięty w r. 1938.

WIEŚ I MIASTO

Rolnicze przeludnienie, szczególnie w województwach krakowskim, rzeszowskim i kieleckim, od dawna chronicznie obciąża nasze gospodarstwo narodowe. Wielki rozgłos uzyskała kiedyś tragiczna wymowa cyfr i wywodów w książce Szczepanowskiego pt. „Nędza Galicji". Jednym z głównych zadań pierwszego planu gospodarczego jest rozładowanie owego niezdrowego zagęszczenia populacyjnego wsi. Wzrost produkcji przemysłowej i usług oraz akcja osiedleńcza na Ziemiach Odzyskanych, na których dotychczas ciągle jest jeszcze za mało ludności rolniczej, zredukują w znacznym stopniu trwałe bezrobocie w województwach o przeludnieniu rolniczym. To z kolei przyczyni się do wzrostu przeciętnej zdolności nabywczej wsi, wzmoże obroty handlowe między miastem a wsią i podniesie stopę życiową ludności rolniczej. Likwidacja odłogów podwyższy średnią ilość hektarów użytków produkcyjnych na głowę z 1,15 ha w r. 1946 na 1,5 ha w r. 1949, a średnią ilość hektarów użytków produkcyjnych na gospodarstwo — z 7 ha w r. 1946 na 7,8 ha w r. 1949. Plan przewiduje uintensywnienie rolnictwa przez stosowanie nawozów sztucznych oraz stopniowe przechodzenie od jednostronnej uprawy zbóż do kultur zróżnicowanych—buraka cukrowego i innych roślin przemysłowych. Ogólną tendencją planu będzie również zwiększenie udziału produkcji zwierzęcej w gospodarce rolniczej. Wreszcie należy wspomnieć o zapoczątkowaniu traktoryzacji gospodarstw chłopskich, którym będzie oddawana do dyspozycji pewna ilość traktorów rocznie; ilość ta osiągnie 3 tys. jednostek w

*) Narodowy Plan Gospodarczy. Warszawa, Nakładem Centralnego Urzędu Planowania 1946; str. 135 i 1 nl.

*) patrz „Odrodzenie" nr nr 75 i 85.

**) Na posiedzeniu z dn. 22. IX. 1946 r. KRN przyjęła jednogłośnie następującą uchwałę: „KRN przyjmuje do wiadomości, przedłożone przez Rząd, Wytyczne Ogólne i Tymczasowe Liczby Podstawowe Planu Odbudowy Gospodarczej. KRN zleca Rządowi w terminie do dnia 15 grudnia 1946 r. opracowanie Narodowego Planu Gospodarczego jako Planu Odbudowy Gospodarczej, obejmującego okres od 1 stycznia 1946 r. do 31 grudnia 1949 r., w oparciu o ustalone powyżej zasady i przedłożenie KRN projektów ustawy o Narodowym Planie Gospodarczym oraz ustawy o Planie Odbudowy Gospodarczej". Znaczenie ustawodawcze tej uchwały polega na tym, że KRN ustaliła zasadę działania w gospodarstwie narodowym w oparciu i w ramach narodowych planów gospodarczych i przyjęła wytyczne, na których powinien być oparty pierwszy plan mający być przedmiotem odbudowy, 1946; str. 135 i 1 nl.

r. 1949. Ogólna zaś ilość traktorów pracujących przeciętnie przy uprawach wyniesie w tym roku 15 tys. jednostek.

Plan przewiduje, że migracja ze wsi do miasta doprowadzi w r. 1949 do ilościowego zrównania się ludności miejskiej z wiejską. Odrobimy w ten sposób poważną zaległość historyczną. Następujący wykres pokazuje czas zrównania się ludności miejskiej z wiejską w niektórych krajach:

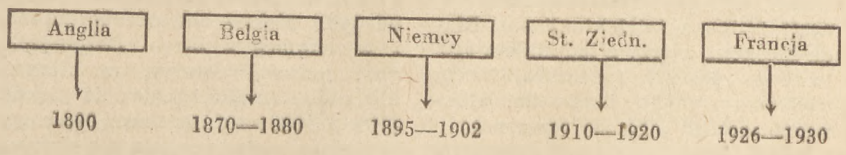

Ludność rolnicza wynosiła w r. 1939 — w Anglii 6,2%, w Stanach Zjednoczonych — 22%, w Niemczech — 29%, we Francji — 35%, we Włoszech — 46%, w Polsce — 60% ogólnej ilości mieszkańców *).

Całkowite wykorzystanie aparatu produkcyjnego na Ziemiach Odzyskanych doprowadzi w r. 1949 do gruntownej przebudowy struktury gospodarczej kraju. Jeżeli w ogólnej sumie dóbr wytwarzanych, czyli w dochodzie narodowym, udział produkcji rolniczej wynosił w r. 1938 blisko 39%, a produkcji przemysłowej ok. 29%, to w r. 1949 stosunek ten ulegnie bardzo ważnej zmianie: dobra rolnicze będą wynosić tylko 27%, a dobra przemysłowe blisko 42%, przy jednoczesnym wzroście bezwzględnym dóbr wytworzonych w obu tych gałęziach produkcji — w porównaniu z latami przedwojennymi. Innymi słowy, z kraju, w którym rolnictwo było główną podstawą gospodarczą, będziemy powoli przekształcać się w kraj, w którym wytwórczość przemysłowa odgrywać będzie coraz większą rolę. Pierwszy narodowy plan gospodarczy nada rozpęd tej ewolucji, której dalsze fazy znajdą wyraz w następnych, kolejnych planach gospodarczych.

*) Wykres i dane liczbowe zaczerpnięte z Charles Rits: „Précis des Mécanismes Economiques", Paris, 1945.

KULTURA UMYSŁOWA

Tak gruntowne zmiany gospodarczo-społeczne, jak podniesienie przeciętnej stopy życiowej ogółu ludności, poważny wzrost potencjału przemysłowego i wysunięcie się produkcji przemysłowej na plan pierwszy w dorobku gospodarczym narodu, związane z tym ilościowe zrównanie się ludności miejskiej z wiejską i znaczna likwidacja przeludnienia rolniczego, odbić się muszą donośnym echem w dziedzinie kultury duchowej. Twórczość bowiem naukowa i artystyczna wyrasta na podłożu kultury materialnej, która warunkuje zarówno formę jak i treść wytworów duchowych. Nowa twórczość duchowa z kolei stwarza nową atmosferę moralną i umysłową, w której dojrzewa typ osobowości o zmienionym sposobie odczuwania, myślenia i postępowania, czyli o nowej postawie wobec świata. „Człowiek zmienia skórę", a zmieniwszy się z kolei oddziaływa na stosunki gospodarczo-społeczne i ogólno-kulturalne. W taki sposób na przestrzeni dziejów odbywał się wszędzie rozwój cywilizacji.

Zadaniem instytucji oświatowych i kulturalnych jest przyśpieszenie procesu kształtowania się nowego człowieka. Toteż w całokształcie planowania dziedzina kultury umysłowej nie została pominięta. Plan przewiduje, że będąca w toku reforma szkolna podwyższy w r. 1949 ilość usług oświatowych ponad poziom roku 1938, że zostanie zapewniona dostateczna liczba wyszkolonych nauczycieli, że wszystkie typy szkół — zawodowe, średnie i wyższe zostaną rozbudowane w znacznie wyższym stopniu aniżeli przed wojną. Całe szkolnictwo zostanie wprawdzie zharmonizowane z potrzebami życia gospodarczego dla zapewnienia w przyszłości odpowiedniego dopływu fachowców, ale odbudowa pracowni naukowych, kształcenie nowych sił naukowych i badania naukowe będą popierane bez względu na natychmiastową użyteczność gospodarczą ich wyników. Intencja zatem autorów planu, jakkolwiek siłą rzeczy skoncentrowana przede wszystkim na sprawach gospodarczych, daleka jest od płytkiego utylitaryzmu i wulgarnego materializmu.

ROLA PISARZA

Samo ułożenie racjonalnego i realnego planu obejmującego całokształt skomplikowanej współczesnej gospodarki narodowej nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, ale bez porównania trudniejsze będzie jego realizowanie. Wprowadzenie go w życie będzie już dziełem nie wybranego zespołu ludzi, ale masy narodu w dosłownym znaczeniu. Rozszerzyć w narodzie znajomość zasad i zadań planowania gospodarczego, wytworzyć wśród wszystkich pracowników przeświadczenie, że chodzi o wielką rzecz, która jest ich rzeczą — ich każdego z osobna i wszystkich razem — oto najpilniejsza sprawa nie przyszłości, ale już dnia dzisiejszego. Od stopnia, w jakim się uda przeprowadzić mobilizację moralną i umysłową narodu, zależeć będzie w dużym stopniu realność osiągnięć przewidzianych w planie. W tej powszechnej mobilizacji ważna rola przypadnie siłą rzeczy ludziom piszącym bez względu na to, jakim sposobem i jakich czytelników swym piórem obsługują.

St. A. Majewski

PAWEŁ KONRAD

Wstydliwy głos dyletanta

Ilekroć czytam dyskusyjne artykuły poświęcone współczesnej sztuce, przypomina mi się wierszyk Ericha Kaestnera o wystawie współczesnego malarstwa. Wierszyk ten, cytowany z pamięci i w przekładzie, brzmi tak:

„Spójrzcie na gości gromadkę tak liczną,
dziwi was to oczywiście.
— Ależ to wcale nie jest publiczność, to malarze są osobiście..."

Trochę w tym przesady. Nie tylko malarze. Są i krytycy, są i poeci, są inni ludzie zawodowo z muzami obcujący, ale to wszystko razem nie jest publiczność. O nas, dyletantach, o szerokich masach społeczeństwa, o szerokich rzeszach inteligencji, mówi się, owszem, ale nas samych nikt o zdanie nie pyta. I na cóż bowiem pytać. Wiadomo, ludzie niewtajemniczeni, dyletanci z cenzusem i bez, profanum vulgus — na sztuce się nie rozumiemy. My uznajemy tylko kicz, naturalizm, obrazy tematyczne, ale na sztukę „prawdziwą", współczesną, jesteśmy ślepi. Toczy się więc spór o to, czy należy schlebiać naszym prostackim gustom, czy też wyuczyć nas i wychować, abyśmy się wszyscy stali Przybosiami. Toczy się spór o to, jak wykonać nasze społeczne zamówienie, czy wprowadzić do malarstwa nową tematykę, czy nowy sposób patrzenia na rzeczywistość, nowe formy malarskie. Toczy się spór o nas — bez nas.

Niechże będzie wolno w dobie demokracji wtrącić do uczonej dysputy kilka nieuczonych słów dyletanta, jednego z tych, co nic nie wiedzą o barwnych plamach, nic nie słyszeli o surrealistach i kubistach i nie odróżniają nawet impresjonizmu od syjonizmu. Bądźcie wyrozumiali, o wtajemniczeni znawcy! Ziewnijcie muzy! Głos ma dyletant.

Sprawa malarstwa nie jest sprawą samych malarzy i samych krytyków. Dzieła sztuki tworzy się nie tylko dla grona wtajemniczonych, ale tworzy się je dla społeczeństwa. Sam akt tworzenia jest czynnością społeczną, jest jedną z form stosunku człowieka do człowieka. Tworząc cokolwiek suponuje się odbiorcę, świadomie lub podświadomie. Gdyby nie to, wystarczyłoby artyście utrwalanie dzieł sztuki w wyobraźni. Wielu artystów współczesnych tworzy jednak z myślą o gronie odbiorców składającym się z ludzi głęboko wtajemniczonych w zagadnienia sztuki i unika poklasku ze strony szerokich rzesz dyletanckich. Ponieważ jednak niemodne jest głoszenie elitaryzmu sztuki i ponieważ modne jest spełnianie zamówienia społecznego — obraca się sprawę tak: tworzymy dla szerokich mas, spełniamy społeczne zamówienie doby obecnej, ale szerokie masy jeszcze nie dojrzały do tego, by nas rozumieć. Dziś oceniają nas znawcy, jutro ocenią nas wszyscy.

Bezpodstawne powiernictwo, uspołecznianie na kredyt — jest albo elitaryzmem, albo prostą drogą do niego prowadzi. Śmiem twierdzić, że znawstwo i wtajemniczenie w arkana sztuki zawsze pozostanie udziałem jedynie pewnego grona ludzi. Nie jest to sprawa tylko ogólnego poziomu kultury. Żeby znać się na dziełach sztuki, tak jak znają się na nich „zawodowcy", trzeba tej sprawie poświęcić życie. Trzeba żyć życiem intelektualnym, trzeba stale obracać się w problematyce artyzmu. Miną stulecia, wejdziemy w złotą erę powszechnego i wieczystego „trzy razy tak", a ciągle jeszcze większość ludzkości zajęta będzie pracą gospodarczą, administracyjną, naukową i konsumować będzie dzieła sztuki po pracy i w niedzielę. My dyletanci mamy zapewnioną większość we wszystkich wyborach na bardzo jeszcze długie lata...

Wyłączne obracanie się w świecie sztuki, w świecie twórczości artystycznej, krytyki i zawodowego komentatorstwa — wysubtelnia zmysły, wprowadza nowy umowny język i siłą rzeczy odspołecznia artystyczną elitę. Tak jest w każdej dziedzinie. Humor uprawiany w ciasnym gronie satyryków doprowadza do takich umownych subtelności, że przeciętny śmiertelnik przestaje cokolwiek z tego rozumieć. Hermetyzowanie się sztuki idzie w parze z ogromnym wysubtelnieniem formy, powoduje jej przerost i kurczenie się tematu. Dystans między artystą a przeciętnym odbiorcą zwiększa się i nawoływanie, abyśmy się podciągnęli, nie wyrówna tego dystansu. Historia wyrównuje ten dystans inaczej.

Nożyce tematu i formy zwierają się i rozwierają w zależności od przemian społecznych. Dialektyka tej sprzeczności jest nader interesująca. Społeczny bunt przeciw panującemu tematowi, przeciw wrogiej treści, wywołuje bunt przeciw panującej formie. Rodzi się uwielbienie formy rewolucyjnej, nowatorstwa i nawet ekstrawagancji. Rewolucjonista chodzi bez krawata, w nieprasowanych spodniach i marzy o świecie nie tylko nowej treści, ale i nowej formy. Pragnie innych obrazów, innej poezji, innych domów i innych mebli. Z chwilą jednak, gdy osiąga zwycięstwo, gdy przystępuje do realizowania swoich zamierzeń, na pierwszy plan wysuwa nową treść i obojętnieje dla spraw formy. Ubiera krawat, prasuje spodnie i bardziej go zaczyna interesować sprawa, czy w ogóle będą budowane domy i meble niż to, jakie one będą. Znamienne jest, że np. w Związku Radzieckim największe nasilenie fantastycznych projektów architektonicznych i urbanistycznych, największy rozkwit „formalizmu" w sztuce przypada na okres, kiedy budowano mało, kiedy mało było teatrów, kiedy mało jeszcze realizowano. Im więcej poczęto realizować, tym mniej myślano o formie, a nawet wracano do form przebrzmiałych. To nie jest opieranie się rewolucji, to jest normalne zjawisko, kiedy słowo staje się ciałem i mieszka między nami. Nowa forma zwiastuje powstawanie nowej treści. Ale gdy nowa treść wdziera się w społeczne życie — a nową treść wnoszą nowi ludzie — sprawa formy schodzi na dalszy plan. Po krótkim okresie burzenia wyzwolone klasy społeczne nabierają zainteresowania dla tego, co burzą. Zanim przyjmą nowe formy, pragną przetrawić stare. Tak trwa dopóty, dopóki okrzepła i prężna nowa treść nie pocznie rozsadzać starej formy. Dialektyczne przeciwieństwo między formą i treścią jest jednym z potężnych bodźców rozwoju kultury i sztuki. Ideałem pozostaje harmonia, która stale się w tej walce rodzi i stale zanika.

Malarstwo współczesne uchyliło się i świadomie uchyla się nadal od jakiejkolwiek kontroli ze strony dyletanckiego społeczeństwa. Nie ma co ukrywać: wstrząsy lat ostatnich i przełom chwili obecnej zrodziły społeczne zapotrzebowanie na nowy temat w sztuce. Malarze współcześni nie chcą, albo nie umieją mówić artystycznymi środkami o nowym temacie. Jeśli Przyboś twierdzi, że nie chodzi o malowanie tematu reformy rolnej, ale „o wielką rewolucyjną ideę plastyczną, o malarstwo, które by odpowiedziało nowym widzeniem na nowy otaczający świat" — jest to znów decydowanie o nas bez nas. Bowiem wcale nie o to chodzi, jakich estetycznych doznań dostarczyła malarzom reforma rolna i jak oni się z tych doznań zwierzają wtajemniczonym krytykom. Chodzi o to, że reforma rolna wprowadza do salonów malarskich miliony nowych odbiorców i że te miliony nowych prymitywnych odbiorców wołają przede wszystkim o nowy temat. Chodzi o to, że niezrozumialstwo współczesnej sztuki zmusza tych odbiorców do kontentowania się kiczem.

Pisze Przyboś („Temat malarski", „Odrodzenie", nr 30): „Nie te wrażenia, uczucia i myśli są ważne i nie te się liczą, które odbiorca dzieła sztuki przeżywa, lecz te, które powinien przeżyć". Oto programowe hasło elitaryzmu. Dla kogo „są ważne"? Gdzie „się liczą"? Co znaczy „powinien"? Cóż mamy począć z naszymi wrażeniami, uczuciami i myślami, które są dla wtajemniczonych nieważne i które się nie liczą? Przez ile stopni wtajemniczenia wypada nam przejść, żeby nasze wrażenia i uczucia stały się takie, jakimi być „powinny"? Gdzie mamy doskonalić nasz zmysł estetyczny, w salonach malarskich czy na ulicy w oczekiwaniu wstępu do nich?

Twierdzi Przyboś dalej, że „wielkie" tematy w malarstwie stanowią dziś przeszkodę w patrzeniu na obraz, jako na dzieło plastyki. Nic błędniejszego. Jedyna droga wprowadzenia niezblazowanego widza w krainę piękna prowadzi przez zainteresowanie tematem. Cóż z tego, że malujecie martwą naturę „po nowemu", kiedy nowy widz nie chce nawet spojrzeć na nią i mrozi go ta martwota. Namalujcie reformę rolną, czy ruiny Warszawy, czy więźnia Oświęcimia. Namalujcie raz, drugi, trzeci i setny, tak jak malujecie martwe natury. Temat przykuje spojrzenie widza. Przy pierwszym obrazie wrażenia estetyczne będą nieświadome, przy drugim widz zwróci uwagę na kompozycję rysunku, przy trzecim na barwne plamy, przy setnym będzie analizował formalną stronę obrazu. Tylko poprzez nowy temat, poprzez temat, który wzrusza i budzi myśli, możecie „sprzedać" widzowi formę. W postaci czystego ekstraktu nikt jej nie kupi. Wojna, gehenna okupacji, rewolucja społeczna, to równie wielkie tematy jak temat religijny. Ludzi głodnych nie nakarmicie smakami, należy dać im smaczne potrawy. Trzeba być doprawdy perwersyjnym smakoszem, żeby uważać, iż miąższ gruszki jest tematem, który przeszkadza w doznawaniu aromatu owocu...

Nawrót do tematu bynajmniej nie obniża poziomu sztuki. Malujcie ruiny Warszawy, jak chcecie: -istycznie, neo-istycznie, -istoidalnie. Nie wszyscy i nie od razu poznamy się na tym. Jednych zaciekawi fotograficzna strona obrazu (bezbarwna fotografia nie zastąpi zresztą naturalistycznego obrazu), inni będą podziwiać „że obraz taki duży", inni znów pokiwają głowami nad tym „ile to pracy tak każdą cegiełkę ręcznie wymalować", niektórzy zadumają się nad kompozycją i rozmieszczeniem barwnych plam. Wszyscy jednak, świadomie lub nieświadomie, poprzez wzruszenie losem Warszawy chłonąć będą piękno, jak się wchłania czyste powietrze nie wiedząc o jego chemizmie. Kto zechce i kto potrafi, uświadomi sobie ten chemizm i wniknie w malarską kuchnię. Ale wy nam każecie zacząć od chemizmu i od kuchni. Tak samo, jakbyście nam kazali przestudiować anatomię i „Zagadnienia seksualne", zanim wolno nam będzie spojrzeć pożądliwym wzrokiem na kobietę... My chcemy przede wszystkim wzruszyć się tematem obrazu, lub zachwycić pięknem, a potem przejść do intelektualnych dociekań. Wy zaś zmuszacie nas do drogi odwrotnej.

Nawrót do tematu nie ma być jedynym drogowskazem malarstwa. Można malować abstrakcyjne kompozycje linii, kształtów i barw. Najprymitywniejszy widz zareaguje na estetyczne doznanie piękna i nasyci się nim, jeśli będzie wiedział, że nikt nie ma do niego pretensji o odgadywanie „co to oznacza". Łakniemy tego piękna nie tylko na malarskich płótnach, ale i na ścianach naszych pomieszczeń, na pudełkach do papierosów, pragniemy zżywać się z pięknem od dziecka. Nie sprzeciwiamy się pięknym abstrakcyjnym formom, ale sprzeciwiamy się formalizmowi jako zasadniczemu i dominującemu kierunkowi. Najtrudniej nam się jednak pogodzić z formalizmem pretensjonalnym, z arealizmem, który podaje nam tematy, który mówi o rzeczywistości, który nasycony jest treścią ideową, ale swoje idee i realia przedstawia w zupełnie odrealnionej postaci.

Nic tak nas, dyletantów, nie wyprowadza z równowagi, jak oglądanie rebusów malarskich. Te właśnie rebusy zmuszają nas do zaglądania za obraz i pod obraz. Ani wiedza o temacie takiego obrazu, ani estetyczne przeżycie nie wynika z bezpośredniego doznania. Dopiero gdy nas ktoś uświadomi, na czym polega program danego -izmu, dopiero gdy nam ktoś wyperswaduje sens i piękno obrazu — ulegamy sugestii nie obrazu, lecz argumentów. Śmiem twierdzić, że i bardzo uczeni krytycy czerpią swoją wiedzę o surrealistycznych obrazach właśnie spoza nich. W znacznej ilości wypadków taki obraz jest rebusem, którego rozwiązanie nie leży w nim samym. Kluczem jest nazwa obrazu, znajomość poglądów artysty i rozwiązanie odbywa się jako czysto intelektualny proces. Mam przed sobą reprodukcję obrazu hiszpańsko-amerykańskiego surrealisty Salvadora Dali. Obraz zatytułowany jest „Zagadka Hitlera". Czego tam nie ma? Jest złamana słuchawka telefoniczna, jest wielki talerz, jest parasol, jest nietoperz i jest ostryga. Czytam uczony komentarz do tego obrazu. Czego się ów światły talmudysta od malarstwa nie dopatrzył? Zobaczył konferencję monachijską, załamanie współczesnej kultury technicznej, pustkę Europy i aneksję Czechosłowacji. Wszystko to wyczytał oczywiście spoza obrazu. Wszystko to jest zupełnie dowolne. Wielki talerz może oznaczać pustkę Europy, ale może oznaczać tysiące innych rzeczy. Zamiast nietoperza może być świnka morska i w niczym to nie zmieni rozwiązania rebusu, skoro jest ono napisane pod obrazem. Jestem głęboko przeświadczony, że w katalogu wystawy surrealistycznych obrazów można dowolnie poprzestawiać nazwy, a komentatorzy i tak dopasują swoją symbolikę do nazw.

My, dylentaci — jeśli nie jesteśmy snobami — uważamy to za swoistą aferę. Podobnie postępują poniektórzy psychoanalitycy, których ktoś trafnie nazwał talmudystami podbrzusza. Jeśli się z góry założy, że wszystkie przedmioty mają seksualną symbolikę, łatwo jest rozwiązać rebus każdego snu. W jednym i drugim wypadku rozwiązanie jest równie słuszne jak nieprzekonywające.

Nie to jest istotne, jakie skojarzenia dane zjawisko budzi w fantazji artysty, ale do jakich skojarzeń artysta nas pobudza. Mam przed sobą reprodukcję obrazu Picassa „Guernica". Gdybym nie wiedział, przypuszczałbym, że to „Wypadek w cyrku". Przekonać mnie o tym, że tak nie jest, można tylko argumentami zaczerpniętymi spoza obrazu.

Jako człowiek liberalny zgadzam się na to, że jedno oko wymalowano

ta na czole, a drugie w miejsce ucha. Można i tak. Ale nie widzę w tej manierze żadnej logicznej ani estetycznej konieczności. Nikt mi nie wytłumaczy, że wymalowanie ucha w miejsce oka i umieszczenie nosa na czole naruszy harmonię obrazu. Ale krytycy znajdą i na to wytłumaczenie. „Ale ja tak to właśnie widzę i czuję" — powie artysta. I musimy mu wierzyć na słowo. A przecież istotne w przeżyciu artystycznym jest nie to, na jakie elementy rozszczepia się rzeczywistość w duszy artysty, ale w jaką całość się ona w duszy widza zespala. Prawdziwe dzieło sztuki daje wrażenie czegoś jedynego, skończonego, znie walającego nas do takiej a nie innej reakcji. W doskonałym dziele sztuki wszystko jest uzasadnione i nie ma niczego zbędnego. Uzasadnione naturalistyczną wiernością wizerunku, lub formalnymi kanonami piękna. W obrazie surrealistycznym oko może oczywiście znajdować się na czole, ale nie czujemy, dlaczego ono tam musi się znajdować, dlaczego rzeczywistość właśnie tak a nie inaczej została zniekształcona.

„Jabym też tak potrafił" — mówi naiwny dyletant oglądając niektóre dziwaczne obrazy. I ten prostacki okrzyk wart jest zastanowienia. Istotnie dyletant „potrafiłby" namalować niejeden z obrazów zdobiących współczesne wystawy. Nikt by jednak w artyzm jego malowidła nie uwierzył. Żądano by od niego, aby przede wszystkim udowodnił, że potrafi także malować „prawdziwe" obrazy, że zna technikę „prawdziwego" rysunku i żądano by, żeby swoją manierę teoretycznie uzasadnił. Innymi słowy, niejeden współczesny obraz sam przez się nie świadczy o artyzmie twórcy i tylko nasza wiedza o twórcy, wiedza czerpana spoza obrazu, pozwala nam odróżnić artystę od dyletanta.

Dzieła sztuki minionych epok zachowują trwale artystyczne walory. Z wykopalisk owych dzieł sztuki potrafimy czerpać wiedzę o życiu i kulturze wygasłych epok. Cóż powie archeolog przyszłych stuleci, gdy odkopie współczesne nam obrazy? Może tylko, gdy stwierdzi, że warstwa lawy, pod którą zachowały się obrazy, składa się z przemielonych kości ludzkich, może tylko po tym pozna, że obrazy pochodzą z XX wieku i że malowano je w Europie... Sam obraz nie przemówi. Trzeba będzie dopiero szukać szczątków katalogów, krytycznych prac i dyskusyjnych artykułów, żeby odszyfrować umowny język rozszczepiającej rzeczywistość symboliki.

Ale nie troszczmy się o archeologów przyszłych stuleci. Dosyć kłopotu przyprawia współczesne malarstwo nam żyjącym. Dzieje się bowiem, że właśnie ludzie postępu, ludzie wiążący swe idee ze sprawą ludu, mają słabość do modernizmu, o którym sam lud ani wie, ani chce wiedzieć. Przyjęło się, żeby ideowy ładunek mas pracujących szpikować salonowymi lub kawiarnianymi ekshibicjami przesyconego intelektu. Intelektualny snobizm usiłuje się utożsamić ze społecznym postępem. A lud — to ludzie prości. Postęp społeczny to zwycięstwo ludzi o prostych upodobaniach i prymitywnym guście, to zwycięstwo gruboskórnych robotników, siermiężnych chłopów, pedantycznych urzędników, roztargnionych naukowców. Postęp społeczny to zwycięstwo bardzo „nudnych i przeciętnych" ludzi, którzy po uszy siedzą w pracy, a w niedzielę idą z dziećmi na przechadzkę za miasto lub, jeśli pogoda nie dopisuje, ...na wystawę obrazów. Ich kultura, to przez długie jeszcze lata kultura radośnie twórczego pozytywizmu, daleka od samotniczych finezji bujnego intelektualizmu. Biada klerkom, którzy z ładunkiem społecznego postępu przemycają swój aspołeczny bagaż. Biada im, albowiem zdradzą albo się rozczarują.

Zagadnienie snobizmu i postępu jest ciągle żywe. Nie każdy modernizm, nie każde nowinkarstwo jest postępem. Nie wystarczy, żeby artysta rewolucyjnie patrzał na świat, żeby rewolucjonizował swoje środki wyrazu, skoro świat jego zapatrzenia nie widzi i jego środków nie rozumie. Trzeba, żeby dzieło sztuki wywołało rewolucyjne odbłyski w oczach odbiorców, żeby oni doznali cząstki tych wzruszeń, jakich doznał artysta.

I jeśli głos dyletanta może mieć wagę w dyspucie między znawcami, to w imieniu dyletanckiej większości wnoszę błagalny protest przeciw niezrozumialstwu w sztuce. Malujcie obrazy tematyczne i malujcie abstrakcyjne kompozycje kształtów i barw. I jedno i drugie jest zrozumiałe. I jedno i drugie jest dla nas realne. Realne jako temat i realne jako piękno zawarte w obrazie i wynikające z niego. Oszczędźcie nam jednak rebusów, w których klucz do tematu i klucz do piękna ukryty jest poza obrazem. Może wy ten klucz posiadacie, ale nie obdzielicie kluczami wszystkich. A choćby ich starczyło — nie upilnujemy tych kluczy.

Lepiej bowiem, żeby obraz nie był zamkiem, ale żeby sam był kluczem do nowej rzeczywistości.

Paweł Konrad

ZBIGNIEW DRZEWIECKI

XX Festival Muzyki Współczesnej w Londynie

Gdy podczas ostatniego przedwojennego Festivalu Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej, który odbywał się pamiętnej wiosny 1939 r. w Warszawie i Krakowie, snuto i uchwalono plany i terminy następnych międzynarodowych zjazdów w atmosferze nabrzmiałej już przeczuciem nadchodzących nieuniknionych konfliktów i zmagań, nie przypuszczano, że Europa stanie się na przeciąg 6 niekończących się lat zamknięta dla działalności Towarzystwa. Hitleryzm z potworną teorią rasizmu rozlał się niemal po całym terytorium europejskiego kontynentu wraz ze swym nastawieniem zwalczania tzw. „zwyrodniałej sztuki" i wolności twórczej. Dla Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej, które nigdy nie zdradziło wypisanych na swym sztandarze haseł wolności twórczej bez względu na rasę, narodowość i przekonania, nastał okres martwoty. Exodus niemal wszystkich najwybitniejszych kompozytorów do U. S. A., rozpoczęty z chwilą objęcia władzy przez narodowy socjalizm, dosięgnął podczas wojny zenitu. Za Schönbergiem, Hindemithem pociągnęli tam Bartok, Strawiński, Martinu, Krenek, Milhaud i niektórzy z naszych kompozytorów, dyrygentów i artystów. Polska znalazła się w najpotworniejszych warunkach, duszona kleszczami hitleryzmu, gnębiona i niszczona w przejawach swej kultury i twórczości. Nieprawdopodobna żywotność społeczeństwa, zejście w podziemia, uratowały przed kompletną zagładą żywą esencję naszego plemienia. Odcięci od świata hermetyczną ścianą stali i terroru, kompozytorowie nasi tworzyli zawzięcie muzykę, która w 90% istniała tylko na papierze. Dopiero od półtora roku zaczynamy słyszeć, wykonywać i konfrontować z osiągnięciami zagranicy to, co wówczas powstało. Pierwszy powojenny Festival w Londynie (7—15 lipiec rb.) pozwolił nam wyjść z drobną emanacją naszych twórczych osiągnięć na rynek światowy i otrzeć się o nurt współczesnych ideałów teraźniejszości.

W ramach pięciu oficjalnych koncertów wykonano 23 dzieła kompozytorów kilkunastu narodowości, wybranych przez międzynarodowe jury spośród dwustu kilkudziesięciu nadesłanych przez poszczególne sekcje Towarzystwa. Drobny to okruch niezwykłej płodności muzycznej ostatnich lat. Przekrój, nie mogący rościć właściwie pretensji do odzwierciedlenia całości prądów i światopoglądów współczesności twórczej, tym niemniej niezmiernie bogaty, ciekawy i pouczający. Myliłby się ten, kto by sądził, iż w łonie Towarzystwa istnieje jednostronność stylu, prądów i języka twórczego. Właściwie tyle kierunków co indywidualności twórczych, którym oczywiście ogólny ton i atmosferę nadają ci najwięksi, Bartok, Schönberg, Strawiński, Hindemith, Prokofiew, jakże głęboko różniący się wzajemnie.

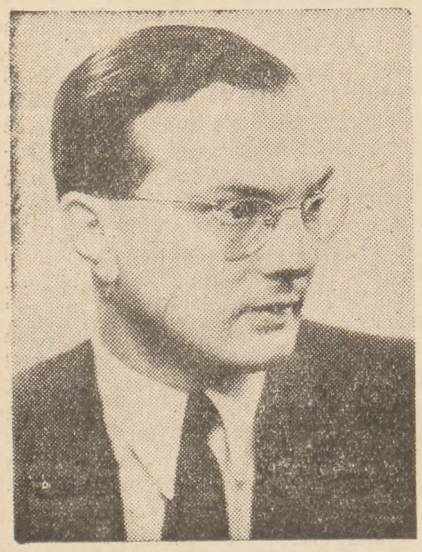

Jerzy Fitelberg

Spośród nich, najbardziej skonsolidowany, najradykalniejszy, najnamiętniej zwalczany był obóz grupujący się koło szkoły **Schönberga.** Schönberg wyciągnął najdalej idące konsekwencje z ogólnie obserwowanej ewolucji stopniowego rozluźniania więzów tonalnych, tak zdawałoby się fundamentalnych dla europejskiego języka muzycznego, w skonstruowanej przez siebie tzw. teorii dwunastotonowej. Spekulatywny, abstrakcyjny, z żelazną logiką obmyślony system znalazł wielu adherentów przede wszystkim wśród kompozytorów wiedeńskich **(Alban Berg, Webern** — obaj nieżyjący) oraz u modernistów czeskich, częściowo w Anglii i Hiszpanii. Nie znalazł on niemal wyznawców w innych krajach słowiańskich i łacińskich i nie przyjął się powszechnie jako nowy uniwersalistyczny język muzyczny. Jedynie Albanowi Bergowi i Webernowi, w ostatnim okresie życia, udało się w kilku dziełach dać syntezę głębokiego, emocjonalnego wyrazu wypowiedzianego nowymi, niezmiernie ścisłymi formami myślenia muzycznego. Sam Schönberg pozwolił sobie na odstępstwo, pisząc w U. S. A. jeden utwór tonalny dla użytku orkiestr szkolnych, by powrócić w ostatnich swych dziełach, m. in. w wykonanej w Londynie „Odzie do Napoleona Bonapartego" (Byron), recytacji z towarzyszeniem kwartetu smyczkowego i fortepianu, do własnego stylu. Ale tu emocjonalność i niewątpliwa tendencyjność samego tekstu, konieczność niejako fragmentarycznego traktowania (wstęp, interludia) materiału muzycznego, stoją w organicznej sprzeczności z samymi założeniami wyznawanymi przez Schönberga. Pod tym względem o wiele większe wrażenie i głębokie zadowolenie artystyczne dała kantata Weberna na sopran, chór i małą orkiestrę. Piękna metafizyczna treść samego tekstu poetyckiego znalazła głęboki odpowiednik takiego muzycznego ujęcia, w którym założenia formalne stapiają się w nierozerwalną całość z emocjalnością wysokiego gatunku materiału dźwiękowego.

Inne dzieła wykonane na Festiva-lu, a wywodzące się z tych samych założeń ideologicznych, daleko odbiegały od poziomu twórców i koryfeuszy systemu dwunastotonowego. Trudno bowiem do nich zaliczyć niezwykle utalentowanego kompozytora włoskiego **Luigi Dallapiccola,** który we wzruszających „Pieśniach z niewoli" na chór, perkusję, harfy i 2 fortepiany i w „Dies irae" używa serii dwunastotonowych. W dziele tym, pisanym w okresie szalejących praw rasistowskich i terroru, szuka kompozytor odpowiedzi na zagadnienia dręczące ludzkość w samotności niewoli, gdy stawała się ona strzępem odartym z poczucia człowieczeństwa i własnej woli. Krótkie teksty łacińskie zaczerpnięte z dzieł filozofów (Inwokacja Boecjusza, Pożegnanie Savonaroli) służą kompozytorowi jako kanwa do muzyki pełnej akcentów tragicznych ale i wiary w nienaruszalność praw moralnych ludzkich i boskich. Pierwsza z tych pieśni (Modlitwa Marii Stuart) nie została wykonana w Londynie.

Jedna z najpotężniejszych indywidualności muzyki dzisiejszej, **Bela Bartok,** zmarły w Ameryce w roku ubiegłym, reprezentowany był przez Koncert na wielką orkiestrę. Muzyka Bartoka daleka jest od wszelkiej spekulatywności mózgowej, tkwi mocno i wyrasta z gleby własnego narodu, a sam Bartok, najwyższą dojrzałość i uznanie całego

Eugenia Umińska

muzycznego świata uzyskuje dopiero w ostatniej fazie swej twórczości. Stanowi ona syntezę własnej, zupełnie oryginalnej ekspresji, połączonej z najwyższym mistrzostwem techniki kompozytorskiej i doboru materiału folklorystycznego. Śmiałość pomysłów idzie tu w parze z żywiołowością rytmiczną i najbujniejszą fantazją. Piąty kwartet smyczkowy i koncert na 2 fortepiany z perkusją — to arcydzieła muzyczne tętniące fanatyczną afirmacją życia i tężyzną. Czy koncert na orkiestrę daje te same wrażenia, osiąga to samo napięcie wyrazu, trudno mi po jednorazowym wysłuchaniu odpowiedzieć, tak, jak też nie chciałbym zbyt pochopnie twierdzić, czy nie dostrzega się w tym utworze mistrza śladów utylitarnej atmosfery amerykańskiej.

Strawiński, duch wiecznie niespokojny i zaskakujący nas wciąż nowymi obliczami swej fantazji twórczej, dał sonatę na 2 fortepiany. Genialny autor Petruszki i Święta wiosny wycisnął niezatarte piętno na umysłowości wielu kompozytorów europejskich. Tym razem dał Strawiński arcydzieło wdzięku i przejrzystości dźwiękowej, pełne uroku, koncentracji formy i prostoty. Jakimi fantastycznymi przeskokami podąża niesłychana płodność i kapryśność wielkiego kompozytora!

Roman Palester, Grzegorz Fitelberg, Zbigniew Drzewiecki

Oda na zakończenie wojny — to 105 opus **Prokofiewa.** Muzyka tej, do pewnego stopnia okolicznościowej kompozycji, bije taranem brutalnej i sympflikowanej heroiczności czterech fortepianów, czterech harf (zamiast przepisanych ośmiu) i wielkim aparatem blachy, (łącznie z saksofonami) oraz perkusji.

Hindemith, najwybitniejszy współczesny kompozytor niemiecki, tępiony przez hitleryzm, w kwartecie smyczkowym Es-dur okazał się wierny swej prawdziwej muzykanckiej naturze, wypowiadającej się językiem jasnym, rzeczowym, dalekim od metafizycznej problematyki. Włada też nim z mistrzostwem miary najwyższej a swe społeczne nastawienie wyraził w swoim czasie w szeregu kompozycyj przeznaczonych dla domowego, amatorskiego muzykowania, tak rozpowszechnionego w Niemczech. Daleki jest jednak od wszelkiej kompromisowości i łatwizny, a własne teorie métier muzycznego ujął w szereg dzieł naukowych.

Odmiennym językiem przemówili na Festivalu kompozytorowie francuscy. Wielowiekowa kultura artystyczna, jasność umysłu francuskiego (esprit latin), poczucie formy i barwy, czyni grunt francuski najmniej podatny na wszelkiego rodzaju skrajne eksperymenty. Za silnie żyje tam jeszcze geniusz Debussy'ego i Ravela, a mniej znany i nie mniej wspaniały Roussel wycisnął umiarem swej o wiele bardziej do wnętrza nastawionej natury silne piętno na współczesnej szkole francuskiej. Toteż **Elza Barraine** muzykuje w drugiej Symfonii, mimo przeczuć wojennych (1938), jasno, przejrzyście i logicznie. Nastroje poezji francuskiej (Comtesse de Noailles, Verlaine) nie dały jednak **Raymondowi Loucheur** pola do wybitniejszych natchnień w Nokturnie na orkiestrę.

Ciekawą postacią na terenie Francji jest **Olivier Messiaen,** twórca założonej w 1936 grupy „Jeune France". W powszechnej rozterce kłócących się wzajemnie ideologii twórczych szuka on i propaguje nową drogę, powrotu do deklamacyjnej monodii tonalnej, opartej o ciekawą i prostą harmonikę, a źródło swych natchnień czerpie ze światopoglądu zdecydowanie katolickiego i mistyki chrześcijańskiej. Kierunek ten jest niezmiernie ciekawy jako reakcja przeciw coraz bardziej komplikującym się środkom wyrazu muzycznego, nasuwa jednak wątpliwości, czy szalona „długodystansowość" melodyki Messiaena, ustawiczne jej powtarzanie przy zamierzonej monotonii rytmicznej, nie rozwadnia zbytnio samej treści niewątpliwie bardzo nastrojowej i nie łamie dopuszczalnych form apercepcji muzycznej. Pisany w stalagu kwartet „Na koniec Czasu" (skrzypce, klarnet, cello i fortepian) nosi dedykację „Ku czci anioła Apokalipsy, który wznosi ku niebu rękę, mówiąc: nie będzie więcej Czasu" i składa się aż z ośmiu części o różnych tytułach treści mistyczno-chrześcijańskiej. Jedna z tych części napisana jest wyłącznie unisono.

Anglię, która z właściwą sobie dżentelmenerią nie wykorzystała okresu Festivalu dla forsownej propagandy własnej twórczości, reprezentowali **Elizabeth Lutyens i Alan Rawsthorne.** Trzy Preludia Symfoniczne pierwszej z nich, to dobra solidna praca o tematyce wywodzącej się ze wspólnego motywu dwunastotonowego. Uwertura — Fantazja „Cortèges", charakteru pochodowo-procesjonalnego, była zapewne od-

biciem przeżyć zmobilizowanego Rawsthorne'a. Absolutna jej wartość muzyczna pozostawała w tyle w stosunku do zręcznie i kontrastowo przeprowadzonej myśli przewodniej autora.

Krótsze wzmianki należy poświęcić doskonale napisanej „Muzyce fajfrów miejskich" **Mohaupta** (Niemcy — U. S. A.), inspirowanej przez słynny fresk ścienny Dürera, gładkiemu, o charakterze romantycznym ale niegłębokiemu Koncertowi fortepianowemu **de Roosa** (Holandia), drugiemu — mało zresztą ciekawemu kwartetowi **Bromana** (Szwecja). Bez większego echa przeszły: VII kwartet smyczkowy **Křeneka** (Austria — U. S. A.), dedykowany „ożywczemu duchowi amerykańskich uczniów" kompozytora, Mała Suita na skrzypce i fortepian **Zavadila** (Czechosłowacja), typowy przykład czeskiego ujmowania absolutnej muzyki typu dwunastotonowego, Symfonia na orkiestrę smyczkową **Schumana** (U. S. A.), jedyne dzieło czysto amerykańskiego kompozytora, pierwotnie pracującego w muzyce jazzowej, Divertimento na orkiestrę smyczkową i trąbkę **Harsanyi'ego** (Węgry — Francja), piszącego w stylu eklektycznym i przynależnego, mimo spożytkowania elementów węgierskich, do szkoły francuskiej, wreszcie Sonatina na klarnet i fortepian **Moeschingera** (Szwajcaria) o charakterze pastoralnym.

Natomiast dział polski nie tylko że odniósł na Festivalu wybitny sukces, ale i przedstawił twórczość naszą w świetle pierwszorzędnym. Jak wiadomo trzy dzieła zakwalifikowało międzynarodowe jury do wykonania: Koncert skrzypcowy **Romana Palestra**, V Kwartet smyczkowy **Jerzego Fitelberga** i pieśni ludowe na głos dziecięcy i 5 instrumentów **Andrzeja Panufnika.** Spośród nich dwa pierwsze były prapremierą wykonawczą. Autorzy nasi to kompozytorowie o zdecydowanych profilach twórczych, a Palester i J. Fitelberg mają już za sobą bogaty dorobek, znany zaszczytnie na arenie międzynarodowej.

Koncert skrzypcowy tegorocznego laureata nagrody muzycznej stoł. m. Krakowa jest dziełem dojrzałego majstra. **Palester** znajduje się tu w etapie zdecydowanej ewolucji, której kierunek można by określić lapidarnie jako dośrodkowy. Przełom ten zarysowuje się coraz wyraźniej od II kwartetu smyczkowego począwszy, znajdując najsilniejszy akcent w II Symfonii, a uwidoczni się z całą jasnością w dziełach ostatnich lat, które ujrzą światło dzienne prawdopodobnie w nadchodzącym sezonie. Fenomenalną maestrię techniki orkiestralnej, będącej pierwotnie niejako celem samym w sobie, zaprzęga stopniowo nasz autor w służbę emocjonalnego wyrazu, coraz silniejszych momentów lirycznych, nawet romantycznych. Przejściowo (Concertino na fortepian i orkiestrę) przybiera maskę zamierzonego ascetyzmu dźwiękowego, by w Requiem znaleźć już styl właściwy, wzmagającej się tęsknoty dzisiejszego człowieka za nowym romantyzmem.

Koncert skrzypcowy zawiera oba oblicza kompozytora stopione w sposób na ogół harmonijny. Niezwykle interesująca tematyka uwzględnia zarówno momenty charakterystyczno-rytmiczne jak i liryczne. Skrzypek ma pole do wyśpiewania szerokooddechowej kantyleny o sugestywnej linii melodycznej. Ma też pole do technicznego, błyskotliwego popisu (dwie kadencje). Przeprowadzenie wzajemnej gry współzawodniczącej między instrumentem solowym a orkiestrą o wielkiej, miejscami może zbyt obfitej obsadzie, trzyma uwagę słuchacza w niesłabnącym niemal napięciu od początku do końca długodystansowego dzieła. Sztukę wyzyskania materiału motywicznego, rozbudowy instrumentacyjnej, nurtu niezmiernie kontrastowej narracyjności posiadł Palester w sposób jemu tylko właściwy. Odblaski nieprawdopodobnej muzycznej erudycji autora znać tu i ówdzie w samej esencji tematycznej.

V Kwartet **Jerzego Fitelberga** był jedną z większych niespodzianek Festivalu. Niezmiernie płodny, wybijający się ciężką pracą, mieszkający od dwudziestu kilku lat za granicą (ostatnio w Nowym Jorku), laureat wielu konkursów kompozytorskich (polskich i międzynarodowych), otrzymał ostatnio nagrodę amerykańskiej Akademii Literatury i Sztuki za całokształ działalności muzycznej. Znany raczej od strony nieskazitelności rzemiosła muzycznego, skłonny do wypowiedzi w stylu tzw. „nowej rzeczowości", nigdy nie szukający poklasku dla łatwizny materiału dźwiękowego, zabłysnął J. Fitelberg w wspaniale napisanym Kwartecie bujnością fantazji i bogactwem pięknych pomysłów.

Pieśni ludowe **Andrzeja Panufnika** wniosły w atmosferę Festivalu egzotyczny moment niezmiernie szczęśliwej stylizacji folkloru, a urokowi i wdziękowi, z jakim autor rozwiązał podjęty problem, poddawaliśmy się z racji krakowskiego prawykonania wszyscy. Również i w tym wypadku mógł się międzynarodowy rynek zapoznać z profilem jednego z naszych najmłodszych kompozytorów, świadomego drogi, jaką obrał i mającego wiele do powiedzenia w przyszłości.

Dzieła nasze miały piękną oprawę wykonawczą. W sukcesie koncertu Palestra partycypowali: wspaniała orkiestra symfoniczna B. B. C., nieporównany interpretator muzyki współczesnej, a niemal całej polskiej od czasu „Młodej Polski" począwszy, mistrz **Grzegorz Fitelberg** i skrzypaczka o bajecznej muzykalności **Eugenia Umińska.** Włożyli oni we wprowadzane przez sieble na estradę po raz pierwszy dzieło całą skalę swych niezwykłych talentów i umiejętności bez reszty. Fascynujące było wykonanie Kwartetu J. Fitelberga przez mistrzowski **„Nowy Kwartet węgierski".** To był niedościgły szczyt wielkiej sztuki kameralnej. Panufnik pewnie prowadził zespół doskonałych śpiewaczek i świetnych instrumentalistów we własnym utworze, mając do przezwyciężenia obcy dla Anglików styl dzieła. Spośród innych wykonawców na Festivalu zasługują na wymienienie świetny dyrygent francuski, dyrektor francuskiego radia, **Manuel Rosental,** chłodny pierwszy kapelmistrz słynnej orkiestry B. B. C., sir **Adrian Boult,** o wybitnej technice dyrygenckiej, a z powodzi licznych zespołów i solistów wokalnych, sopranistka **Emelie Hooke,** która tak nieskazitelnie pod względem wyrazu i intonacji interpretowała atonalną partię w Kantacie Weberna.

Jak powszechnie w Anglii przyjęto, Festival odbył się bez najmniejszych subwencyj państwowych. Głównymi „mecenasami" Festivalu byli: radio brytyjskie (B. B. C.) i popularny dziennik „New Chronicle", oraz szereg organizacyj i firm wydawniczych.

Nieoficjalna część Festivalu obejmowała wiele wartościowych imprez muzycznych. Towarzystwo poświęcone wykonywaniu mało znanych dzieł literatury dawnej i najnowszej „Morley College Concerts Societe", dało pod dyrekcją Waltera Goehra pełną nową wersję Nieszporów **Monteverdiego** (1610). Świetnie brzmiały sławne z kultywowania muzyki oratoryjnej angielskie chóry, zachwycała piękną grą na viola di Gamba młoda instrumentalistka w orkiestrowych partiach solowych. Jeden z koncertów poświęcony był wykonaniu szeregu dzieł największego kompozytora angielskiego XVII stulecia **Henryka Purcella.** Bardzo ciekawa była pogadanka wraz z demonstrowaniem odpowiednio dobranych przykładów o komponowaniu muzyki do filmów dokumentarnych (wojna) i eksperymentalnych. W świat i sferę życia angielskiego ziemiaństwa przeniosła delegatów i muzyków wycieczka do słynnego **Glyndebourne.** Arcybogaty właściciel tej posiadłości, położonej wśród przepięknych parków i ogrodów, założył tam towarzystwo operowe, które już przed wojną zasłynęło z wzorowych przedstawień oper Mozarta, nagranych w całości na płyty. W tym celu przebudował on jeden z budynków na kameralny teatr operowy, drugi zaś na salę restauracyjną, szatnie itp. Jednocześnie oddał do dyspozycji gości cały pałac ze wspaniałym salonem muzycznym z wbudowanymi organami, biblioteką, fortepianami koncertowymi Steinwaya, klawesynem i harfą. W Glyndebourne dano obecnie premierę nowej opery młodego, najbardziej utalentowanego kompozytora angielskiego, **Beniamina Brittena,** pt.: „Porwanie Lukrecji", przy udziale najlepszych śpiewaków pod dyrekcją mistrza **Ansermeta.** Przedstawienie było wycyzelowane do najdrobniejszych szczegółów, a całe entourage tego miniaturowego angielskiego Bayreuth nosi zupełnie swoisty styl, o wiele bardziej wytworny od ciężkiej maszynerii niemieckiej. Britten w swej drugiej z rzędu operze zabłysnął talentem kompozytora operowego najpierwszej wody o bujnej skali dramatycznego wyrazu i nowego ujęcia problemu operowego.

Do nieoficjalnej części Festivalu zaliczyć też można Koncert Kameralny Sekcji Polskiej w Wigmore-Hall (Kwartety **Szymanowskiego, Palestra** i Kwintet fortepianowy **Żuławskiego)** oraz produkcje współczesnej muzyki czeskiej w instytucie czechosłowackim (utwory **Haby, Reinera, Kaprala, Bořkoveca** i in.). Audycja polska w wykonaniu doskonałego Kwartetu Blecha jeszcze raz unaoczniła obiektywną wartość naszej muzyki, zwłaszcza w pierwszych dwóch punktach programu.

Dwudniowe obrady zjazdu delegatów Międzynarodowego Towarzystwa zakończyły się jednomyślnym wyborem honorowego prezesa Towarzystwa, prof. uniwersytetu w Cambridge, **Edwarda Denta,** na czynnego prezesa. Sekretarzem generalnym został ponownie **Edward Clark.** Uchwalono, że przyszłoroczny Festival odbędzie się w **Kopenhadze.** Propozycję amerykańską odrzucono ze względu na trudności komunikacyjne i koszty podróży dla muzyków kontynentalnych.

Reasumując, muzyka polska odniosła bardzo poważny sukces w ramach Festivalu, wysuwając się na czołową pozycję, tuż za wielkimi nazwiskami mistrzów współczesnych. Bilans trzech miesięcy londyńskich (maj—sierpień) obejmował jeszcze szereg występów artystów polskich, a więc długą serię koncertów symfonicznych dyrygowanych przez Grzegorza Fitelberga, wielkie sukcesy Witolda Małcużyńskiego oraz recitale publiczne i występy radiowe Eugenii Umińskiej i Zbigniewa Drzewieckiego w Londynie i Glasgowie.

W ogólnym obrazie prądów nurtujących muzykę współczesną zauważyć się daje zgodniejsze współżycie różnych ideologij twórczych. Awangardowość niektórych kierunków przedwojennych straciła dużo na natężeniu. Już z samego wyliczenia dzieł łatwo wywnioskować, że wojenne przeżycia odbiły się na tematyce wielu kompozycyj. A ogólna tendencja do odprężenia jasno się rysuje w dążności do uproszczenia form wyrazu i nawrotu do emocjonalności i... romantyzmu.

Zbigniew Drzewiecki

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„KSIĄŻKA"
SIERPIEŃ — WRZESIEŃ — 1946 R
BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH
A. MICKIEWICZ
PAN TADEUSZ
WYDANIE IV
60.— zł.
KONRAD WALLENROD
45.— zł.
GRAŻYNA
25.— zł.
J. KOCHANOWSKI
WYBÓR POEZJI
90.— zł.
J. SŁOWACKI
KORDIAN
55.— zł.
BENIOWSKI
LILLA WENEDA
B. PRUS
FARAON
WŁ. REYMONT
CHŁOPI
264

Zaprenumerować
„ODRODZENIE"
można w każdym urzędzie pocztowym
Prenumerata kwartalna 120 zł
Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

JESZCZE O MACKIEWICZU

Stanisław Mackiewicz (Cat). Lata nadziei (17 września 1939 — 5 lipca 1945). Nakładem autora (Londyn, 1946); str. 216.

Informować o treści tej (43 z rzędu) książki, wydanej na emigracji przez zawziętego wroga ludowej Polski, jest rzeczą zbędną, gdyż „Odrodzenie" zaznajomiło po części polskiego czytelnika z ostatnim utworem publicystycznym Mackiewicza. Namiętny przeciwnik reformy rolnej w Polsce i rewolucji w Rosji, jest wszakże nazbyt rozumny, by nie widzieć grzechów i błędów „egzotycznych sojuszów" bez realnej wartości politycznej i nie wykazywać ich z temperamentem urodzonego dziennikarza oraz nie wyjaśniać bezkrytycznym wyznawcom orientacji anglosaskiej.

Lecz zdrowy rozum Mackiewicza rozbija się o zaporę, którą sam sobie wzniósł. Obrońca przeszłości nienawidzi ZSRR, szczery sentyment żywiąc dla dynastów z rodziny Romanowów. Stąd myśl jego, choć zafascynowana „Zachodem", była myślą realisty, który rozumie, że sprzymierzeńca trzeba szukać blisko i zwracała się w stronę Niemiec jako możliwego partnera. Faszyzm nie raził, a raczej pociągał redaktora wileńskiego „Słowa", program społeczny Hitlera i jego stosunek do junkrów oraz magnatów przemysłu usposabiał bardzo przychylnie, nauka o wyższości rasy, odpowiednio przekształcona, mogła okazać poważne zalety w regulowaniu spraw z „tutejszą" ludnością wschodnich ziem (poza tym wieczne rojenia o Mohylewie, Białejcerkwi, Humaniu!).

Progermańskie skłonności miały więc różne źródła i dostęp do błękitnej redakcji; miał tam też wielki wpływ Władysław Studnicki. Stąd rodziły się już w czasie wojny niebezpieczne rozważania na temat Hachy i Petaine'a oraz zalecanego stopnia oporu wobec niemieckiego okupanta w kraju. „Hitler przegrał wojnę — pisze Mackiewicz retrospektywnie — bo nie umiał się pozbyć ideologii zbuntowanego niewolnika". Tak było w „Latach nadziei". A wielka szkoda, że Hitler nie umiał być czymś więcej niż naprzód bękartem swego społeczeństwa, a później zbuntowanym niewolnikiem, nie potrafił „zaprzestać swej zemsty, powstrzymać swej nienawiści, chęci ucisków, gwałtów, zniszczenia".

Gdyby był, chociażby jak któryś z Hohenzollernów, dobrze urodzonych panów ludzkiego plemienia, można by z nim pogadać i dogadać się.

Tak, mniej więcej, myślał Stanisław Mackiewicz w Londynie. A jego rodzony brat Józef poszedł o krok dalej i, przemógłszy skrupuły w stosunku do „polityki wściekłego psa", uprawiał kolaborację i stoczył się w przepaść jako redaktor gadzinówki w Wilnie.

Stanisław Mackiewicz, niesforny, nie pohamowany, buńczuczny dziennikarz, niewiele ma wspólnego z zachowawczością. Spotęgowany do anarchizmu indywidualizm aż kipi w tym nieodrodnym potomku kontuszowych sobiepanów, których wylęgarnią był nie tylko magnacki pałac, lecz wyrojowiska szlachetków w przeludnionych zaściankach i „okolicach". Wielu z nich zasilało ruchy wyzwoleńczo-narodowe i obce w XIX wieku, niejeden wzmocnił nawet szeregi rewolucji socjalnej. Mackiewicz został rewolucjonistą na opak, próbował swego buntowniczego ducha tchnąć w zleżałe żupany i kierezje. Więcej niż „zachodu" jest w nim pierwiastków nihilisty w stylu Nieczajewa i zbłąkanych rosyjskich dekadentów z końca ubiegłego stulecia.

W taki sposób, mając w sobie wiele materiału wybuchowego, naciągnął pancerz ultrakonserwatysty i — stał się człowiekiem niepotrzebnym. Lecz tam, gdzie Mackiewiczowi nie towarzyszy obsesja antyradziecka, gdzie z obcegów, w które dobrowolnie zamknął swą myśl, wyrywa się przyrodzona siła rozumu, warto go posłuchać. Gdy np. dowodzi, że często „fałszywa doktryna polityczna kierowała drogą naszej polityki".

Albo gdy pod koniec pisze w swych „Łatach nadziei":

„Unikajmy w przyszłości rad prowokatorów i nie przelewajmy krwi i nie niszczmy kraju dla wywoływania propagandowych efektów".

Przestroga bardzo roztropna.

Józef Sieradzki

Listy Krakowskie i Biblioteka Jagiellońska

Stefan Otwinowski, jak przekonaliśmy się od lat, jest niezawodny w swadzie. Niezapomnianą dialektykę z warszawskich wieczorów dyskusyjnych (czasu tajnego życia umysłowego Polski) uniósł cało i pakuje ją między dzisiejsze rekwizyty, pisząc do „Kuźnicy" Listy Krakowskie. Jeśli niekiedy trudno się zgodzić z uogólnieniami autora „Życie trwa cztery dni", zawsze jednak, słysząc autora „Wielkiejnocy", usłyszy się głos sumienia. Tak czytelnikowi jak autorowi „Marionetek" nie tyle jest drogi sam werdykt, co troska, którą Stefan Otwinowski jest powodowany, samo to poruszenie, którego wyraz znajdujemy w twórczości autora „Czasu nieludzkiego".

Tym bardziej więc będziemy zgodni z jego intencjami, im skwapliwiej nadeślemy uzupełnienia, sprostowania choćby do jego Krakowskich Listów, skoro wszelki humanistyczny stosunek do życia, wszelką twórczość, tak literacką jak naukową, charakteryzuje, jak wiemy z doświadczenia, nie tyle poznanie prawdy co namiętność do zdobywania jej wszelkimi możliwymi sposobami.

Ponieważ w czwartym z tych Listów był dłuższy fragment poświęcony drogiej nam wszystkim Bibliotece Jagiellońskiej z powołaniem się na niżej podpisanego, wobec tego uważam za stosowne publicznie zabrać głos w tej sprawie i oświadczyć, że jeśli mimochodem wypowiedziałem niegdyś w „Odrodzeniu" kilka ciepłych słów o atmosferze dawnych czasów, atmosferze dawnej Biblioteki Jagiellońskiej i ta „starożytność" wydała mi się pod niektórymi (wymienionymi zresztą) względami barwniejsza od nowożytności i skoro po raz drugi ogłoszono te wrażenia o Bibliotece i zestawiono je z moim nazwiskiem, to z racji notoryczności muszę stwierdzić, że nie uważałem się nigdy za szczególnie upoważnionego do sądzenia Biblioteki Jagiellońskiej, że nigdy nie pretendowałem do podszywania się pod cenzorską pozycję, choćby taka sugestia się narzucała, że na koniec nigdy nie pragnąłem swym słowom nadać tego znaczenia, jakie niewątpliwie uzyskały one przez to, że się na nie powołał zasłużony laureat ziemi krakowskiej. Wszystko to tym bardziej, że opinie podane w sumarycznym skrócie odbiegają niekiedy od poglądów wypowiedzianych przeze mnie czy to w druku czy to w słowie. Oczywiście tylko niekiedy. Albowiem, gdy Stefan Otwinowski zauważa łaskawie, że ze wszystkich przyjemnych rzeczy za najprzyjemniejszą uważam szperanie w książkach, że przeniosłem się do Krakowa, bo znęciła mnie Biblioteka Jagiellońska, mówi mi rzeczy, do których przyznaję się z przyjemnością. A że Biblioteka Jagiellońska okazuje się deceptja, to także prawda, lecz z innych powodów niż te, które można by wyczytać w Listach Krakowskich. Jest deceptją gmach nowoczesny, o którym trudno byłoby powiedzieć, że jest dziełem sztuki znakomitszym niż ten dawny przy ulicy Jagiellońskiej. Obecne nowoczesne magazyny są wzorowe, obecne lektorium nowoczesne, choć ku utrapieniu bibliotekarzy i czytelników nie zaopatrzone w pocztę pneumatyczną na rewersy i windy elektryczne na książki, ma ten brak, że nikt tu od wieków fałd nie przysiadywał. Ustępuje też odwiecznemu, zniszczonemu przez Niemców. Caeterum censeo, że skoro miejsc poświęconych kultowi religijnemu czy narodowemu nie odznacza się szyldami, skoro wolne są od tego rodzaju reklam budowle chronione przed tym dostojnością miejsca i powagą sprawy, której służą, a niektóre z nich korzystają nawet z immunitetu, który pozwala nie nosić policyjnego numeru, wydaje się, że nie uchybiłoby to naszej Jagiellonce, gdyby, na równi z wieloma towarzystwami naukowymi i uniwersytetami nie świeciła od wejścia napisem.

Co się tyczy księgozbioru, są braki dotkliwe pośród książek najczęściej używanych, stanowiących bibliotekę podręczną. Braki te powstały zarówno z winy Niemców jak i czytelników. Sam księgozbiór, bezcenny zbiór unikatów i poloniców, jest biblioteką naukową w dość rygorystycznym znaczeniu tego słowa. Kto zechce szperać np. pośród książek XIX w. z zakresu piśmiennictwa powszechnego, literatury pięknej, czy też pamiętników i listów, cytowanych w bibliografii obszerniejszych kompendiów i przypiskach do monografii, ten się przekona, że Biblioteka Jagiellońska, jak wszystkie biblioteki polskie, pod tym względem ustępuje pierwszym bibliotekom świata.

My teraz, jak i dawniej, wydajemy mniej pieniędzy i gorzej kompletujemy zbiory aniżeli Moskwa, Leningrad, Londyn czy Paryż i w dalszym ciągu, nie tylko dla czytania rękopisów ale i dla czytania książek będziemy musieli jeździć do zagranicznych bibliotek.

Przez cały czas okupacji biblioteki polskie były czynne w sposób tajny. Korzystałem z bibliotek warszawskich. Gdy chciałem pracować nad rękopisami biblioteki Zamojskiej, prof. Kolankowski bez wahania mi je udostępnił, chociaż dobrze wiedział, jaka jest za to odpowiedzialność i chociaż syn jego był więźniem w Oświęcimiu. Te same obyczaje panowały w Krakowie. I dziś także bibliotekarze krakowscy odznaczają się najdalej posuniętą uczynnością i brakiem pedanterii w formalnościach. Przekonuję się o tym stale nadużywając często dobroci dra A. Bara. W wypożyczalni, a zwłaszcza w gabinecie rycin, każdy, kto wybiera się na poszukiwania, spotyka się z nadzwyczajną uczynnością. Nie tylko uczynność, ale swą najlepszą i nie byle jaką wiedzę, a także część swego urlopu w najpiękniejsze dni letnie (wyszukując tym razem materiały o Moniuszce) poświęciła dr Maria Ameisenowa, co z wdzięcznością podkreślam dlatego, że właśnie na przekór temu, co wyczytuję w czwartym Liście Krakowskim, zżyć mi się było bardzo łatwo ze zwyczajami krakowskich bibliotekarzy, zwyczajami, dla których pozostaję z gorącą wdzięcznością i szczerym podziwem.

Adam Mauersberger (Kraków)

W poprzednim 40 (97) numerze „Odrodzenia" z dn. 6 października 1946 r.: **Stefan Papée:** Walka o odbudowę nauki polskiej. Rozmowa z prezesem Polskiej Akademii Umiejętności Kazimierzem Nitschem. — **Jan Meysztowicz:** Strzępy epopei. — **Jerzy Lovell:** Pisane promieniem. Erotyk. — **Aldona Zdanowska:** Z gdyńskiego wybrzeża. — **Stanisław Mackiewicz (Cat):** Prowokacje obce i doktryny fałszywe. Prasa polska na emigracji. — **Ananiasz Zajączkowski:** Relacja arabska o Słowianach sprzed tysiąca lat. — **Franciszek Gil:** Na procesie ludobójcy. — **Tadeusz Peiper:** Fantazy i Idylia. — **Tadeusz Kubiak:** Nigdy. Na kiermaszu. — **gi:** Wspomnienia Noëla. — **jaszcz:** W epoce Fatimy. Granat zaczepny czy obronny. — **Józef Sieradzki:** Demokracja angielska. — **gi:** Partia katolików? Sprawozdawca teatralny. Skandal. — **Bogusław Kuczyński:** Ghetto w Chicago. — **kjw:** Szkoła krytyków. Ryba, która pobladła. — **Janina Pregerówna:** Pamiętnik z marginesu wojny. — **Tadeusz Konwicki:** Niezdany egzamin. — **Konstanty Grzybowski:** Wallace i Stalin. — **jaszcz:** Przegląd prasy. — **ams:** „Balladyna" w Bielsku i Cieszynie. — **Tadeusz Dobrowolski:** Wrześniowe wystawy. — **Stefania Łobaczewska:** Filharmonia i Opera w Krakowie. — Tydzień bibliograficzny. — **gi:** Marx i Engels po polsku. — **J. Przyboś:** Napiwek. — 7 ilustracyj — 12 stron.

Obrazki wsi wojennej

Stanisław Piętak

Stanisław Piętak. Front nad Wisłą. Cykl opowieści. Warszawa, „Czytelnik", 1946; str. 181 i 3 nl.

Książka Stanisława Piętaka „Front nad Wisłą" jest zbiorem opowieści o polskiej wsi z czasu ostatniej wojny, od klęski wrześniowej (retrospektywnie, w tytułowym utworze „Front nad Wisłą"), poprzez okupację i wyzwolenie, do ostatniej prawie doby, przedstawionej w symbolicznym obrazie chłopa-zwycięzcy orzącego pański grunt przydzielony mu na podstawie reformy rolnej. Piętak, pierwszy w powojennej literaturze, starał się odtworzyć wojnę widzianą i odczutą przez chłopa bądź inteligenta (a nawet naukowca jak np. „Adiunkt") pochodzącego ze środowiska chłopskiego.

Wieś polska w opowieściach Piętaka jest jakaś bierna, zaabsorbowana walką o ciężki okupacyjny byt. Wieś ta dzieli się na kolaboracjonistów (rzadkich na szczęście), paskarzy nie gardzących korzystnym handlem z Niemcami — i wreszcie większość, która w walce z okupantem ogranicza się tylko do biernej niechęci do zdrajców i handlarzy. Nieliczna grupa chłopów-konspiratorów, bojowników o wolność, to ideowcy (takim zapewne jest Filip z „Ostatnich nocy") i partyzanci z przypadku, nieraz z musu, jak Góraj, eks-złodziej i bandyta. Oni dwaj reprezentują polską wieś walczącą. Reszta — to ludzie zepchnięci w małe koło nędzy wojennej, demoralizacji z nią związanej i wreszcie prześladowań okupanta. Obrazu wsi walczącej nieugięcie z wrogiem, siły niezwykle witalnej, która tak obficie zasiliła polski ruch oporu, Piętak nie dał.

Opowieści St. Piętaka są stylizowane na prymityw chłopski zarówno w formie jak i treści. Do wywołania wrażenia chłopskości przyczynia się już chociażby sam sposób zawiązywania niektórych opowieści zwrotem wyjętym z gadek wiejskich „Była to..." czy „Działo się to..." Niektóre fragmenty tych opowieści (szczególnie jaskrawa jest pod tym względem „Ostrzyżona") brzmią niemal jak urywki baśni opowiadanych podczas zimowych wieczorów. Wrażenie to osiąga autor zamierzonymi zapewne właściwościami stylu sprawozdawczo-prostego a równocześnie zatrącającego w pewnych swych elementach o patos, o bardowską nutę. Oto jeden z wielu możliwych do zacytowania przykładów: „Zobaczywszy, że nie chybiła, że chłopiec upadł, wróciła do domu, zjadła pół bułki chleba, garniec surowej kapusty i położyła się spać, stękając i dziko ciesząc się z tego, co uczyniła". Swoistą formę utworów zapowiada Piętak już w podtytule: „Cykl opowieści" — nie nowel, nie opowiadań, ale **opowieści** — ta nazwa zdaje się powoływać na stare, od dawna po wsiach zakorzenione tradycje gawędziarskie. Oprócz tego posługuje się Piętak chętnie innymi jeszcze środkami ekspresji. Raz posłuży się formą „Listu do przyjaciela", to znów w opowiadaniu o przejściu frontu przez wieś użyje rozleglejszej, szerszej frazy stylistyczno formalnej, operując spokojnym, trochę rozwlekłym opisem.

W niektórych opowieściach uderza czytelnika oryginalny sposób przeprowadzania rozmów. Nazwałbym je „rozmowami niedopowiedzianych aluzyj". Zamiast oczekiwanej odpowiedzi na pytanie znajdujemy uwagę lub myśl nie mającą pozornie związku z tym pytaniem czy sytuacją. Jest to jak gdyby wyrażony głośno fragment „niewidocznej" dla czytelnika szermierki myślowej bohaterów.

Na osobną uwagę zasługuje freudowski motyw wiązania snu z rzeczywistością. Sen jest w pierwszych dwu opowieściach bodźcem bezpośrednim do powzięcia ważnych postanowień. Predylekcję autora do nadawania snom szczególnego znaczenia pamiętamy jeszcze z „Młodości Jasia Kunefała".

Postacie swych opowieści maluje Piętak wyraziście, ale czasem je przerysowuje... Sylwetki Niemców są dobrze utrafione. Z chwalebnym umiarem podkreśla autor np. w scenach z generałem niemieckim jego zachowanie się przy wysłuchiwaniu raportu o zabiciu jeńca sowieckiego i następnie moment grzebania jego ulubionego psa. Może najwięcej zastrzeżeń budzi sylwetka Michasia — z opowieści „Front nad Wisłą". W tym środowisku zastanawia on czytelnika „książkowością" wypowiedzi. Autor uzasadnia tę cechę „oczytaniem" Michasia, ale jednak to tylko szesnastoletni chłopak! N. b. wygląda na 13 i tyle podaje Niemcom, którzy mimo to tytułują go „per pan". Wszyscy we wsi nienawidzą Niemców, ale tylko jeden Michaś wygłasza tyrady na cześć wolności. Za dużo u niego frazeologii i miejscami irytuje czytelnika swą patetyczną żarliwością. Jest to Michaś wyimaginowany przez Piętaka.

Opisy Piętaka uderzają — w zależności od kontekstu — to subtelną malarskością, to znów cechami charakterystycznymi dla chłopskiego gospodarskiego spojrzenia. Wystarczy tylko wspomnieć i zestawić delikatną, sinawą mglistość zimy, zachód słońca z „Ostatnich nocy" i pełne zmysłu praktycznego spostrzeżenie Michała z „Zasadzki". „Wspiął się na palce Michał, począł nasłuchiwać, ale niestety — to pies jakiś wracał z nocnej wyprawy i najwyraźniej miał gorączkę, bo co chwila chlepał wodę po bruzdach i koleinach". Jednak zapewne troska o inne środki ekspresji sprawiła, że trafiły się drobne pośliźnięcia w rodzaju: „Wozy i ludzie poczęli niknąć w sadach, ale tymczasem zabłysła już druga i trzecia rakieta, i z **suchym, przeraźliwym szelestem upadło kilka bomb**".

Książka Piętaka jest obrazem — chociaż niepełnym — wsi polskiej pod okupacją niemiecką — ale nie jest obrazem wsi polskiej walczącej z wrogiem.

Tadeusz Konwicki

Poczta, która jest

W związku z niewątpliwie ważną sprawą, poruszoną przez kjw w „Poczcie, której nie ma" („Odrodzenie" nr 95), w której autor zawarł wiele cennych sądów, wypada jednak wypowiedzieć kilka zastrzeżeń:

Krytyka — mimo wszystko — nie jest tak, jak chce autor „Poczty", przeznaczona dla twórców. Jeżeli twórcy z niej korzystają, to ich sprawa. Zresztą korzystają zwykle nie ci, do których jest skierowana, ale inni, — którzy zamierzają pisać. Zadanie krytyki — polega na tłumaczeniu istoty dzieła, wyjaśnianiu wartości i wad, krytyka pośredniczy więc między autorem a odbiorcą (czytelnikiem) i to jest jej istotna i najdonioślejsza rola. Jest to zresztą rzecz ogólnie znana. Ale skoro już tak się stało, że o niej mowa, nie należy jej przemilczać, kiedy przejawiają się tendencje jej wypaczenia. Krytyk chciałby mieć bezpośredni wpływ na kształtowanie się dzieła artysty. Oczywiście trud równie zbożny jak daremny. Szczególnie jaskrawo występuje to w toczącej się obecnie dyskusji dokoła artykułu Dobrowolskiego „O hermetyzmie i społecznej izolacji dzisiejszego malarstwa". Krytycy uzurpują sobie prawo narzucania postawy twórczej do rzeczywistości, sugerują, jaka postawa jest słuszna, gdy ich szczerym i rzeczowym zadaniem byłoby określać — ze swego punktu widzenia — wartość i niedomagania dzieł, które powstały. Siła ich przekonywania, rozległość horyzontów spowodowałyby kształtowanie się sztuki na przyszłość. Byłoby to przynajmniej konkretne ustosunkowanie się do dzieła, a nie gwałtowne przymierzanie dzieł do swych kryteriów, — i do własnych recept. Naturalnie, że krytyk musi mieć swój zdecydowany stosunek do zjawisk sztuki, swą miarę i wiarę. Ale nade wszystko musi mieć wrażliwość, tak dalece uczuloną, że odkrywającą piękno wszędzie tam, gdzie ono się znajduje, niezależnie od tego, w jaki sposób jest wyrażone, czy zgodnie z naszymi o tym wyobrażeniami i upodobaniami, czy też nie. Nie chodzi tu o brak kąśćca ideologicznego, ale o uchronienie się od zaślepienia doktrynalnego. Dopiero przez obiektywne wykazanie niedostatków w dziele artystycznym, i ich źródła, najlepiej przyczynić się można do propagowania swojego poglądu na działalność twórczą, artystyczną postawę wobec zjawisk otoczenia, jej wyrazu, sposobów i środków jej przetwarzania.

Hermetyzm sztuki nie jest winą twórców, ale krytyków, którzy nie umieli w dość przekonywający sposób przekazać tej sztuki odbiorcom. Nie można bowiem twierdzić — nie narażając się na zarzut zarozumiałej naiwności — że ten tylko a nie inny sposób widzenia i odtwarzania czy przetwarzania rzeczywistości jest słuszny. Brak światłych, wszechstronnych krytyków, nie kręcących się wokół własnego kościółka sprawia, że spotykamy tę dotkliwą sytuację w zakresie krytyki, o której wspomina kjw.

Przykład Norwida świadczy właśnie o braku krytyków, którzy by pośredniczyli między poetą a czytelnikami. Tu autor „Poczty, której nie ma" niemal wbrew intencjom (bo mówi przecież o oddziaływaniu krytyka na autora) sam przyznał, że „brak czujących i sumiennych krytyków był głównym powodem samotności i niezrozumienia tego poety". A więc przykład Norwida to nie „niezrozumialstwo" i obojętność na „dobre rady" krytyków. A więc to nie argument na to, że krytycy winni oddziaływać na poetę w celu skłonienia go do „jasnego" wypowiadania się, lecz że winni wpływać w sensie „objaśniającym" czytelnikom twórczość poety. Czytelnicy nie dorośli do dzieła, ponieważ krytycy ich nie wychowali.

Powie ktoś, że krytyka może odnosić się niekoniecznie do dzieł już dokonanych, może wytyczać drogi w przeszłość bez roztrząsania istniejącego już dorobku. Nie bardzo w to wierzę. Krytyki bowiem nie można uprawiać w oderwaniu od dzieł już stworzonych. Nawet jeżeli jest projekcją nowych postulatów sztuki. Byłaby to jałowa frazeologia.

Rola Schleglów, Brodzińskiego, Mochnackiego była jednak wyznaczona działaniem skierowanym na czytelnika. Nie na autora. Nie autor, którego krytykowali uczył się od nich, lecz ten, co miał dopiero pisać, a zatem w chwili aktualnej również czytelnik, nie pisarz. O tyle krytyka ma wpływ rzeczywiście na twórców. Nie na twórców jednak dzieł krytykowanych. Niech sobie kpią, pisze co chce, ale pisze on to wbrew faktom. Nie urodził się jeszcze taki twórca, który by kierował się krytyką. Twórcy na ogół nie przejmowali się krytyką swych dzieł (negatywną), nie w tym stopniu przynajmniej, aby miało to wpływ na formowanie się ich twórczości. Inne o wiele bardziej ważkie czynniki rozstrzygają o tym.

Dlatego bałamutne jest też zdanie kjw o megalomanach i grafomanach (co, odezwał się grafoman?). Sam kjw przyznaje, że i Mickiewicz pisał paszkwil na „krytyków i recenzentów warszawskich". Ale Mickiewicz nie był chyba grafomanem? Coś tu nie jest w porządku. Bo wyjaśnienie, że Mickiewicz był lepszym krytykiem, niczego tu nie wyjaśnia. Stąd i bałamutność.

A wybitnych twórców megalomanów było (i jest) bez liku.

Że krytyka obchodzi się „bez istnienia grafomanów", nie ma się naprawdę czym chełpić. Bo różnie bywało, nieraz krytyka obywała się bez wielkich twórców (Norwid). Niestety. Najlepiej więc bez takich bałamutnych chwytów. Dla dobra sprawy i dla dobra samego autora „Poczty, której nie ma". Bo inaczej budzi się tylko nieufność i podejrzliwość. A szkoda. Wobec tak ważnego tematu. I tylu trafnych uwag.

Tadeusz Mrozowski

P. S. Prawdopodobnie autor „Poczty, której nie ma" najchętniej chciałby zobaczyć powyższe pod tytułem: „Obrażony grafoman". Ale czy to pomoże?

Szkoła krytyków

NOWY GWIAZDOZBIÓR

Po przeczytaniu „Poczty której nie ma" upominał mnie w zgorszonym liście ob. Tadeusz Mrozowski, że mam zbyt wielkie pretensje, twierdząc, jakoby krytycy mieli wpływ na dzieła pisarzy. Waszym zadaniem, panowie od przeżuwania książek jest — tak ów list streszczony obrazowo — dobrze przeżuwać, a coście przeżuli, nam czytelnikom podawać jako wzór do należytego rozumienia. Nic ponadto.

Nie zgadzam się na rolę zastępczej krowy, ale doraźnie jestem gotów nawet ją przyjąć. Zwłaszcza, że nadarza się doskonała sposobność. Słucham od kilku dni rozmów na temat „Kolczyków Izoldy" Gałczyńskiego, stawiających ten poemat w jednej mierze z „Zaczarowaną dorożką". Nie, drodzy. „Ja w ogóle mam wrażenie, że ten Gałczyński napisze, potem zamyka się w domu i śmieje się, żeśmy się dali nabrać." Nie, miła panno Zosiu.

Jednym z najwyższych hołdów, jakie zna ludzkość, jest ochrzcić gwiazdozbiór czyimś nazwiskiem. Po zwycięstwie Sobieskiego zawisła na firmamencie Tarcza Sobieskiego, gwiazdozbiór jego imienia. Bo gwiazdy i pomnik w nich są trwalsze nad marmury. Mało kto pamięta, że gwiazdy też podlegają ruchom, od jakich rozsypie się kiedyś kształt obecnych konstelacyj, a ułożą się nowe. Rozsypie się jednak w czasowej mierze epok geologicznych, potrzebnych, by w ogóle powstały marmury. Dlatego w gwiazdach składa hołd poeta.

Komu? Mówi o tym wyraźnie Master of Ceremonies. Jakiejś poległej, nieznanej dziewczynie. „Kolczyki Izoldy" to poemat o nieznanej dziewczynie powstańczej. Z jej zmiażdżonego ciała zostały tylko kolczyki. Dlatego kolczyki w licznych aluzjach przebijają się przez cały poemat. Śpiewają o nich żołnierze. Narzeczony miał je kupić dziewczynie. I śmierć ma piękniejsze kolczyki, te które otrzymała Izolda. Posłyszeli coś tam o niej mieszczańscy pijacy i bredzą w typie obecnych plotek politycznych. Kolczyki Izoldy. Kolczyki jej miasta. „Warszawie sława, sława kolczykom Izoldy".

Dobrze, ktoś zapyta. To sprawa poważna, ale dlaczego ją podawać wśród kpin, żartów, kawałów, rzekomego cyrku, błazenkowatego poety, pijaków, Trzetrzewińskich? Przesadzasz pan, panie przeżuwający — tak powie. Jeśli tak mówicie, zapominacie o swoich najbardziej niedawnych doświadczeniach. Czy wzruszenia najbardziej istotne są po to, ażeby je podawać gołe? Czy takiej uczuciowości uczyła wojna? Czy nie pogłębiała właśnie pewnej wstydliwości uczuć, nie nakazywała o sprawach najważniejszych mówić tylko aluzją, odczuwać najlżejsze ich tchnienie?

Forma poematu Gałczyńskiego usiłuje ten zespół doświadczeń przenieść w sferę artystyczną. O krok od śmierci jest żart, o krok od bohaterstwa groteska, od wielkości — prosty uśmiech. Poemat ten należy czytać na tle takich dokumentów, jak np. „Patrol sanitarny" Żwirskiej („Twórczość" nr 9). O tym samym doświadczeniu uczuć mówi się tutaj językiem tającym wzruszenia najważniejsze.

„Kolczyki Izoldy" noszą podtytuł oratorium. Oratorium, to forma muzyki chwalebnej i opiewającej. Jej pewną istotną właściwość stanowi układ polifoniczny, to znaczy taki, w którym śpiewające głosy prowadzą kilka melodyj równocześnie, przeciwieństwo ujęcia homofonicznego, gdzie głosy są podporządkowane jednej górującej melodii. „Kolczyki Izoldy" spełniają warunki tej formy, a najłatwiej to rozpoznać, zestawiając je z „Zaczarowaną dorożką" w „Przekroju".

„Zaczarowana dorożka", jest homofoniczna: tylko groteska, tylko jedna warstwa wzruszeń. W „Kolczykach Izoldy" wiele warstw wzruszeń równocześnie występujących. Zważcie, jak spod żartu wynika co chwilę dno sprawy, jak scenka pijacka przechodzi nagle w śpiew żołnierzy daleki od groteski, zważcie iloma środkami jednocześnie zaznaczane są węzły wydarzeń. Chociażby ten: nowy gwiazdozbiór, to nocna premiera niebios.

Poezja nowoczesna uczyła, że liryka nie nazywa uczuć wprost, lecz szuka dla nich odpowiednika. Postępowanie Gałczyńskiego nie jest zasadniczo odmienne. Na miejscu wzruszenia właściwego pozwala się rozróść wzruszeniom ubocznym, peryferyjnym. Wzruszenie właściwe tłumi, ale wiemy doskonale, że wzruszenia opanowane, te, w których miejsce pozwalamy innym występować, nie stają się przez to mniej ważne. Milcząc w szczęściu, uśmiechając się w cierpieniu, bywamy nauczycielami poetów.

Czy już wszystko? Wszystko ze stanowiska krytyka? Nie, jego praca zaczyna się właśnie teraz, kiedy zasymilował utwór i jest zdolny przekazać jego rozumienie. Krytyk obowiązany jest teraz spytać o proporcję żartu i powagi— lecz tego poniechajmy.

Czy na firmamencie zawisł rzeczywiście nowy gwiazdozbiór, wątpią astronomowie. Lecz że na firmamencie obecnej poezji zawisł nowy gwiazdozbiór, rzecz to niewątpliwa. Jakiej mocy i wielkości? — „Kolczyki Izoldy" też się kończą znakiem zapytania. *kjw*

WŚRÓD KSIĄŻEK

Prawidła poprawnej wymowy polskiej. Wydanie II. Biblioteczka Tow. Miłośników Języka Polskiego. Nr 10; str. 32.

Ponowne wydanie „Prawideł", wyniku pracy zespołowej lingwistów i aktorów z 1930 r., jest obecnie bardzo na czasie, kiedy w związku z kształtowaniem się nowych stosunków społeczno-kulturalnych coraz większy wpływ na losy nauki polskiej posiadają szerokie warstwy, związane językowo z podłożem ludowo-gwarowym. Książeczka poucza jaki sposób wymawiania należy uznać za wzorowy. Chciałoby się wręczyć ją do przestudiowania jakże licznym naszym mówcom okolicznościowym, którzy wiele słów błędnie wymawiają i źle akcentują; chciałoby się ostrzec niektórych prelegentów radiowych, że błędami wymowy rozpowszechniają złe nawyczki; „Prawidła" należało by uczynić katechizmem artystów scen. Ministerstwo Oświaty zaleciło słusznie tę książeczkę nauczycielom wszystkich szkół. Zaznajomić się z nią powinni jednak wszyscy przemawiający, a wtedy nie słyszelibyśmy takich dziwolągów jak „cóś" zamiast coś, „doktór" zamiast doktor, „jezdem" zamiast jestem, „pęzel" zamiast pędzel, „szkandal" zamiast skandal. Dość już mamy tych i innych językowych „szkandałów".

Władysław Kłosiński. Moje abecadło. Kraków, Nakładem Księgarni Stefana Kamińskiego; Str. 112.

Nauczyciel Władysław Kłosiński dobrze się przysłużył dzieciom i szkole. Jego elementarz łatwy, zajmujący, barwny, ucieszy dzieci zgrabnymi rysunkami i do zainteresowań pierwszaczków dobranymi wierszykami i czytankami; nauczyciel znajdzie w nim podręcznik, odpowiedni do nauczania zarówno metodą wyrazową jak zdaniową, stosowny tak samo w mieście jak na wsi. Ta uniwersalność „Mojego Abecadła" jest dużą zaletą. Podnieść też trzeba odpowiedni wzór pisma, zaprojektowanego przez H. Polichta i H. Starzyńskiego, a ustalony przez komisję kilku wytrawnych specjalistów. Słowem, dzieci z pierwszej klasy mają znów pierwszą książeczkę, która sprawi im wiele radości i niewątpliwie przyniesie pożytek. **Stefan Papee**

Podręcznik dla zakładów kształcenia nauczycieli

Dr K. Sośnicki. Pedagogika ogólna. Podręcznik dla użytku zakładów kształcenia nauczycieli. Inowrocław, 1946; str. 137 i 3 nl.

Na brak podręczników narzekają szkoły wszystkich typów, szczególnie jednak dotkliwe jest to w zakładach kształcenia nauczycieli. Nie ma w tej chwili kształcenia jednolitego, — mamy kursy z młodzieżą po czterech klasach gimnazjalnych, po maturze, po ukończonym liceum, — są jednak również przygotowawcze po siódmej powszechnej. Przyjęta zasada, że kształcenie nauczycieli musi być skrócone do minimum, zmusza do ograniczenia materiału. Tak jest w zakresie każdego przedmiotu, tak jest oczywiście również z pedagogiką.

Podręcznik prof. Sośnickiego odpowiada tym wymaganiom. Daje materiał najbardziej konieczny. Wyjaśnia najpierw pojęcia wstępne, m. in. to, że pedagogika ogólna, jako nauka opisowa, rejestruje jedynie i przedstawia treść różnych systemów pedagogicznych. W dalszym ciągu omawia przedmiot wychowania, zagadnienia dziedziczności, teorię celów wychowania, pojęcie zasady i pojęcie wartości, środki wychowania i zagadnienie osobowości wychowawcy. W dodatku zamieszczone są tematy do rozważań i dyskusji.

Podręcznik napisany jest stylem jasnym, pojęcia trudniejsze wyjaśniono w słowniczku. W związku z tym zastrzeżenie: autor w toku rozważania różnych kwestij rzuca dość często nazwiska pedagogów, psychologów, uczonych, np. Herbart, James, Kerschensteiner, Dilthey, Spranger, Pfahler, Peterman i in. Nazwiska te nic uczniowi nie mówią, — potrzebny byłby tak samo słowniczek wyjaśniający. Prawda, że wyjaśnić może nauczyciel, jednak fakt zamieszczenia tematów do dyskusji i słowniczka rzeczowego pozwala przypuszczać, że autor chce dać uczniowi podręcznik, który może służyć również do pracy samodzielnej, do samokształcenia, — co ważne dla nauczycieli niekwalifikowanych, którzy swe wykształcenie sami uzupełniać muszą.

S. W. Ludwikowski i C. Janowski. Psychologia ogólna. Skrypt do użytku zakładów kształcenia nauczycieli. Katowice, 1946; str. 98 i 2 nl.

Psychologia jest dla pedagogiki nauką pomocniczą, która dostarcza wyników badań. Podręcznik katowicki daje schematyczny przegląd zagadnień psychologicznych, — takich, jak wrażenia, spostrzeżenia, uwaga, fantazja itd. Autorzy referują tylko to, co już inni napisali, nic nie dają z siebie poza streszczeniem kilku starych podręczników. Mimo to książka będzie pożyteczną pomocą w ręku nauczyciela, który z konieczności chce najpierw wiedzieć rzeczy elementarne, by potem sięgnąć do Baleya „Zarysu psychologii" czy innych książek. **Stanisław Nowaczyk**

NOWOŚCI INSTYTUTU ZACHODNIEGO:

Maria Kiełczewska:
O podstawy geograficzne Polski str. 144 i 16 mapek. cena . . . . . zł 200·—

Marian Friedberg:
Kultura polska a niemiecka, t. I—II, str. 363 i 310, cena za całość . . . zł 500·—

Alfons Klafkowski:
Okupacja niemiecka w Polsce w świetle prawa narodów, str. 196, cena . . zł 200·—

Bogumił Krygowski, Stanisława Zajchowska:
Ziemia Lubuska, Opis geograficzny i gospodarczy, str. 287, cena . . . . zł 300·—

Bożenna Stelmachowska:
Zdobnictwo ludowe Ziemi Pyrzyckiej, 4°, str. 34 . . . . . zł 100·—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

262

NIEOBECNI SŁOWIANIE

W Paryżu wychodzi od kilku miesięcy nowe pismo naukowe „Sociologie et droit slave". W pierwszych numerach ukazał się obszerny artykuł Edouarda Sicard o badaniach socjologicznej struktury narodów słowiańskich, artykuł Jacques Ancela o francuskiej literaturze o prawach słowiańskich, artykuł J. Djordjewica o Skupczynie jugosłowiańskiej, artykuł A. Prohazki o filozofach prawa uniwersytetu w Brnie, teksty konstytucyjne sowieckie, czeskie, jugosłowiańskie. Od lipca 1946 wychodzi także w Paryżu miesięcznik „Tchécoslovaquie". W maju 1946 ukazało się dzieło Benesza „La démocratie, aujourd'hui, demain". Za ten sam okres czasu notuje bibliografia francuska z poloniców: przekład powieści Kuncewiczowej, artykuł Czachowskiego i przekłady z poezji polskiej w miesięczniku „Poésie", szkic historyczny L. Carre „L'héroïque aventure du comte de Plelo et l'expédition de Dantzig 1734". Eksportujemy więc do Francji zamierzchłe wspomnienia historyczne z epoki saskiej i czyste piękno. Czy po to jest polski attaché kulturalny w Paryżu? I dlaczego nie stara się o polskie pozycje w „Sociologie et droit slave" i o to by przynajmniej jeden zeszyt tego pisma znalazł się w Polsce?

gi

Z GÓR JESZCZE NIE ZESZŁY PLEŚNIE

„Celem formalnym historii jest dać złudzenia samego życia". Tak twierdzi Henryk Barycz w miesięczniku „Nauka i Sztuka" (nr 8—9, „O nowe drogi historiografiii polskiej").

Badania materialne polskich historyków formułuje H. Barycz rozwlekle, używając takich określeń, jak „nurt najistotniejszych dążeń" i „głębia charakteru narodowego".

Braki naszego dziejopisarstwa sprowadza autor do trzech przyczyn: na ogół obejmowało ono rzadko żywotne problemy bytu narodowego, hołdowało zbytniej specjalizacji i nie przywiązywało należnej wagi do artystycznej formy.

Naszym zdaniem braki są o wiele poważniejsze. Jeżeli „nauka historyczna polska mimo zewnętrznych objawów świetności pozostała w większości nauką martwą, jej kapitał i walory społeczne nie zużytkowane" — jak trafnie orzeka H. Barycz, — to przyczyn należy szukać. Trzeba szeroko otworzyć okna i sięgnąć do arsenału środków, którymi rozporządza szkoła materializmu dziejowego, tak gruntownie i programowo u nas unikana. Lecz o tym w artykule poświęconym przyszłemu obliczu dziejopisarstwa ani słowa.

Pozostajemy wciąż w kręgu Adama Naruszewicza, z tym, że rozumny biskup był prekursorem swojego czasu, my zaś stoimy uparcie w miejscu, to znaczy cofamy się w porównaniu z nauką na szerokim świecie.

PRZEMYSŁ ENERGETYCZNY

Moc zainstalowanych urządzeń energii elektrycznej na terenie Polski w roku 1938 wynosiła 1 692 000 kW, w roku 1946 3 977 000 kWh. Niemcy uruchomili wybudowane przez nas zakłady energetyczne, np. w Rożnowie i Stalowej Woli, powiększyli sieć wysokiego i niskiego napięcia głównie na Pomorzu i linie wysokiego napięcia zwłaszcza w Poznańskiem. Jednakowoż wskutek ekstensywnej eksploatacji maszyn, demontowania urządzeń oraz działań wojennych zniszczenia dochodzą do 40%.

Przed wojną posiadaliśmy 14 000 km linii wysokiego napięcia. Sieć na Śląsku Dolnym, Pomorzu Zachodnim i Ziemi Lubuskiej wynosi 24 000 km.

Na dawnych terenach Polski wytwarzaliśmy w lipcu 1946 roku o 16% więcej energii niż w roku 1938 (1 459 000 kWh), a wraz z ziemiami odzyskanymi o 54% więcej.

Trzyletni plan inwestycyjny przewiduje zwiększenie produkcji energii elektrycznej do 5,5 miliona kWh (1938 — 4 miliony kWh), budowę 2 600 km linii wysokiego napięcia i tyleż kilometrów linii niskiego napięcia, co pozwoli włączyć 90 tysięcy nowych abonentów wiejskich do sieci. Na mieszkańca przypadnie z końcem 1948 roku 300 kWh zużycia elektroenergii, wobec 121 kWh w roku 1938.

Koszt tych inwestycji przekroczy 400 milionów złotych przedwojennych.

(Źródło: „Przemysł energetyczny w odrodzonej Polsce". Serwis informacyjny (nr 6) Ministerstwa Informacji i Propagandy).

js

Anglicy a nowa Polska

Istnieją fakty pozornie drobne, które jednak, jeśli występują często i w krótkim okresie czasu, znaczyć mogą więcej i zapowiadać więcej niż wielkie mowy dyplomatów, gdyż mogą być przygotowywaniem opinii publicznej na istotne zmiany polityczne. Nie można jeszcze twierdzić, ale nie należy wykluczać przypuszczenia, że trzy takie fakty z ostatnich kilku tylgodni mogą zapowiadać zmianę stosunku Anglii do obecnej rzeczywistości polskiej. Faktami takimi są: wizyta delegacji Labour Party w Polsce, wizyta posła Ziliacusa w Polsce, artykuł „Manchester Guardian" o Ziemiach Odzyskanych.

Z delegacją Labour Party przyjechali do Polski przedstawiciele kierujących sfer rządzącego w Anglii stronnictwa, poseł Ziliacus reprezentuje lewicę tego stronnictwa. Wszyscy oni szukali kontaktu przede wszystkim z PPS, kontakt ich z wicepremierem Mikołajczykiem, uchodzącym za głowę anglofilskiego obozu w Polsce, był nikły lub żaden. Z pewnością odgrywała tu dużą rolę wspólna przynależność do tego samego odłamu socjalizmu, choć między stosunkiem Labour Party a stosunkiem PPS i do marksizmu i do komunistycznego skrzydła ruchu socjalistycznego są znaczne różnice. Niemniej podkreślenie faktu, że związki ideologiczne między rządzącą w Anglii grupą a PPS są silniejsze niż między tą grupą a przywódcą PSL i jego obozem ma swoją wymowę, choćby dlatego, że kierownik angielskiej polityki zagranicznej z ramienia tejże Labour Party zdawał się być dotąd innego zdania. Jeśli wizyty te mają oznaczać, że rządzący Anglią obóz widzi istotną siłę polityczną Polski raczej w PPS, a więc w konsekwencji w czterech stronnictwach, niż w PSL — to zmiana taka byłaby pożądana i z punktu widzenia stabilizacji stosunków międzynarodowych i dla rozwiania złudzeń wielu niepoprawnych fantastów w kraju.

Polski ruch robotniczy dzieli się na dwa odłamy. Ścisła współpraca obu tych odłamów jest nieodzowną podstawą spokojnej, demokratycznej, pokojowej ewolucji. Zrozumienie tego faktu w Polsce u obu stronnictw robotniczych jest coraz silniejsze i musi być coraz silniejsze. Tylko w połączeniu mogą one skutecznie zapobiec próbom reakcji. Ale nie można zapoznawać faktu, że jeden z tych odłamów jest ideologicznie silniej zbliżony do socjalizmu zachodniego, drugi zaś jest silniej zbliżony do socjalizmu radzieckiego, choć jeden i drugi rozumie, że droga Polski do socjalizmu nie może być ani taka sama jak droga radziecka, ani taka sama jak droga angielska. Jeśli dzięki istnieniu i swobodzie działania jednego z nich Zachód zrozumie, że Polska nie jest bazą radziecką przeciw Zachodowi, a dzięki istnieniu i niekwestionowaniu prawa do rządzenia drugiego z nich Wschód pozbędzie się obawy, jakoby ktokolwiek w Polsce mógł skutecznie dążyć do uczynienia z Polski punktu wypadowego Zachodu przeciw Związkowi Radzieckiemu — to istnienie obu partyj robotniczych w Polsce okaże się pozytywnym wkładem nie tylko dla ewolucji wewnętrznej, ale i dla ewolucji międzynarodowej, dla osłabienia niebezpieczeństwa dwóch bloków. Ale ten stan rzeczy jest możliwy tylko dlatego, że obie te partie ściśle ze sobą współpracują. Każde osłabienie ich współpracy grozi niebezpieczeństwem utraty tej równowagi. Wizyty angielskie okażą się pożytecznym wkładem we współczesne życie polityczne, jeśli przyczynią się do zrozumienia tych faktów.

Wizyty angielskie mają jeszcze jedno znaczenie. Goście angielscy byli na Ziemiach Odzyskanych. Widzieli czegośmy tu dokonali. Byli tam przyjmowani przez Polaków jako gospodarzy i uznali ich prawa jako gospodarzy. Wizyty te zdają się być zapowiedzią, że rządzące stronnictwo angielskie nie popiera żądań rewizji granic zachodnich Polski. Artykuł „Manchester Guardian", organu angielskich sfer przemysłowych, zdaje się również mieć na celu przekonanie opinii angielskiej, że Polska jest i pozostanie nad Odrą i Nysą. Artykuł warszawskiego korespondenta tego pisma przyznaje, że na ziemiach tych mieszkało przed rokiem 1938 blisko milion (do 800 000) Polaków. Stwierdza, że obok nich Polacy zza Bugu, Polacy z miast i wsi zniszczonych przez wojnę. Polacy reemigrujący z Anglii, Francji, Jugosławii, Włoch, nawet z Ameryki i Polacy pochodzenia żydowskiego potrafią te ziemie zapełnić. Angielski publicysta rozmawiał z tymi ludźmi. Pisze: „Polacy-tubylcy śląscy wydają się ludźmi energicznymi i sumiennymi" (choć dodaje: „jakkolwiek wydaje mi się, że niektórzy z nich wzbogacili się nieco za gwałtownie" — widocznie słyszał o „szabrze" i przypisał go tym, którzy byli raczej jego ofiarą). Stwierdza, że z licznych reemigrantów z Anglii tylko jeden powiedział mu, że chciałby tam powrócić. Górnicy polscy z Francji oświadczyli mu, że warunki ich życia w Polsce, mieszkanione i żywnościowe, są o wiele lepsze niż te, jakie mieli jako górnicy we Francji. Stwierdza on, że liczba Polaków w województwach odzyskanych przekroczyła 5 milionów „a w ciągu roku, gdy 1 500 000 Niemców, którzy tam jeszcze przebywają, opuści te ziemie, liczba Polaków podniesie się do siedmiu milionów". Kończy stwierdzeniem, w ustach Anglika decydującym: „Polacy zdają sobie sprawę z tego, że, niezależnie od podstaw historycznych ich rewindykacyj, decydującą rzeczą jest ich zdolność zaludnienia i wyzyskania tych ziem. Wielu z nich to optymiści, którzy myślą, że ich sukcesy skłonią nawet Polaków z Ameryki do powrotu do ojczyzny. Skoro spokój i porządek panują w Polsce, fakty mogą potwierdzić ten optymizm".

Trzy fakty z dziedziny poza wielką polityką. Wszystkie trzy jednak wskazują na jedno: Anglicy zaczynają pozytywnie oceniać dzisiejszą polską rzeczywistość. Zaczynają tłumaczyć własnemu społeczeństwu, że zachodnie granice Polski należy przyjąć jako fakt dokonany, Polska bowiem odniosła sukces w zaludnieniu i zagospodarowaniu ziem zachodnich. Zaczynają szukać kontaktu nie tylko z tymi, którzy, uznawszy w Polsce fakty dokonane, dążą do ich zmiany, ale także z tymi, którzy stworzywszy w Polsce fakty dokonane, chcą iść dalej po tej samej linii. A to jest, jak na to, co dotąd słyszeliśmy z Anglii i od Anglików, bardzo wiele.

Konstanty Grzybowski

Kronika kulturalna Austrii

Szkolnictwo. We Wiedniu jest obecnie 414 szkół i 207 budynków szkolnych. Przed wojną było 411 budynków, z tego 50 zostało kompletnie zburzonych wskutek działań wojennych (głównie wskutek rozpaczliwej obrony oddziałów SS w marcu 1945), 75 ciężko, 236 lżej uszkodzonych. Odbudowano już (do kwietnia 1946) — 70 budynków. Gmina m. Wiednia daje dzieciom niezamożnym bezpłatnie książki i zeszyty.

2000 książek szwajcarskich dla Wiednia. Z inicjatywy pani Anders-Worth ludność Szwajcarii zebrała 2000 książek przeznaczonych dla ludności Austrii. Część z nich otrzymał uniwersytet wiedeński, inne biblioteka miejska lub księgarnie komunalne. Głównym celem zbiórki było udostępnienie wiedeńczykom zagranicznej produkcji wydawniczej, zakazanej przez hitlerowców. Druga podobna zbiórka ma być niebawem zorganizowana na rzecz austriackich miast prowincjonalnych.

Zbiórka na odbudowę opery. Opera wiedeńska została podczas wojny zniszczona. Obecnie towarzystwo śpiewacze w Austrii zbiera pieniądze na odbudowę.

„Pięciu pisarzy, których utraciła Austria". Pod tym tytułem odbył się we Wiedniu uroczysty wieczór, poświęcony pamięci pięciu zmarłych pisarzy, których zniszczył hitleryzm. Pierwszy to Egon Friedel, satyryk i historyk sztuki, który w roku 1938 po wkroczeniu wojsk niemieckich wyskoczył przez okno w momencie aresztowania. Stefan Zweig, który żył na emigracji w Brazylii, popełnił samobójstwo, gdyż — jak pisał: „nawet na odległość nie mógł znieść III Rzeszy". Podczas wojny napisał autobiografię „Świat wczorajszy". Feliks Salten umarł w Szwajcarii. Franz Werfel zmarł niedawno na atak sercowy w Ameryce; wydał po angielsku powieść „Pieśń Bernadette'a". Wreszcie Ryszard von Beer-Hoffman zmarł przed rokiem w Nowym Jorku. Wszystkie jego dzieła, ożywione duchem austriackiego patriotyzmu, były zakazane przez Hitlera.

Sprawa kliniki dziecięcej. Stowarzyszenie kobiet we Wiedniu podjęło inicjatywę odbudowania kliniki dla dzieci. Klinika ta zbudowana w r. 1851, osiągnęła światową sławę w r. 1911 dzięki prof. Pirquetowi. Obecnie znaczna część kliniki, a szczególnie pawilony zakaźne, leżą w gruzach.

Zagraniczne filmy we Wiedniu. Największym powodzeniem cieszą się obecnie we Wiedniu 4 filmy zagraniczne. Dwa z nich, to rosyjskie obrazy: „Cyrk" i „Bez winy winni". Poza tym interesujący psychologicznie film francuski „Falbalas" z Raymondem Rouleau i Michaliną Presle. Tłumy tłoczą się także na kryminalnych filmach amerykańskich, oraz na antyhitlerowskim filmie szwajcarskim pt. „Ostatnia szansa".

„Warszawianka" wśród pieśni wolności. Wydawnictwo uniwersalne we Wiedniu ogłosiło zbiór „pieśni wolnościowych" w układzie Fryderyka Wildgansa. Figuruje wśród nich m. in. nasza „Warszawianka" i „Czerwony Sztandar", a nadto: „Marsyllanka", „La Carmagnole", „Międzynarodówka", „Pieśń pracy", „Za wolność Austrii" itd.

Wydawnictwa austriackie. Z ramienia domu wydawniczego Erwina Müllera we Wiedniu Oskar Maurus Fontana przygotował dwa cykle książek. Pierwszy z nich „Literatura światowa" obejmuje utwory Balzaka, Gogola, Poego, Dickensa, Claudiusa, Stiftera i Gottshelfa, a także dzieła Platona, Schopenhauera i Kierkegaarda. Drugi cykl, poświęcony literaturze współczesnej, obejmuje nowoczesnych autorów zagranicznych i austriackich. Ukaże się także historia kultury Austrii w pierwszej połowie XX wieku.

Zniszczenie literatury hitlerowskiej. Według uchwały austriackiej Rady Narodowej każdy Austriak obowiązany jest bez prawa żądania odszkodowania oddać wszelkie książki, kartograficzne atlasy i obrazy odzwierciedlające idee hitlerowskie. Kto tego obowiązku nie wypełni, temu grozi kara ścisłego aresztu od 6 miesięcy do 2 lat.

Poemat skazańca. Austriackie pismo „Die Woche" publikuje piękny poemat skazanego na śmierć 29. I. 1943 r. antyhitlerowskiego działacza, Ryszarda Sacha. Poemat ten pt. „Ich bin den Weg gegangen" został grypsem przesłany z więzienia.

wn

Zawiadamiamy naszych P. T. Odbiorców i Dostawców, że z dniem 15 października 1946 r. zmieniliśmy brzmienie firmy naszego oddziału:

KSIĘGARNIA DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA
POD ZARZĄDEM PAŃSTWOWYM

Oddział naszej księgarni prowadzić będziemy odtąd pod firmą:

WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA WYDAWNICZA
POD ZARZĄDEM PAŃSTWOWYM
POZNAŃ, ALEJE MARCINKOWSKIEGO 21

Długoletnie doświadczenie naszych sił fachowych daje naszym P. T. Odbiorcom rękojmię rzetelnej i sumiennej obsługi.

DRUKARNIA ŚW. WOJCIECHA
POD ZARZĄDEM PAŃSTWOWYM

270

CZYŻBY LUCIDUM INTERVALLUM?

Najrozmaitsze są manowce myślenia naszej „małej emigracji" (określenie Hemara). Jedni nawołują do powstania NSZ, inni do sabotażów i aktów terroru, większość wierzy w trzecią wojnę. Anders z tego wszystkiego wyciąga praktyczne wnioski i ładuje w podziemie broń i pieniądze. Czasem jednak myśl emigracyjnych mącicieli cofa się przed pewnymi konsekwencjami i próbuje innej drogi. W londyńskich „Wiadomościach" (nr 18) p. Władysław Günther ogłosił artykuł „Kraj i emigracja", który godzi się odnotować jako charakterystyczny wyraz pewnych nastrojów i pewnych rozczarowań.

Do 1941 r. wszystko szło w Polsce i na emigracji dobrze — rozumuje autor. Dopiero ten nieszczęsny wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej popsuł szyki: „Rządy gen. Sikorskiego i Mikołajczyka poszły po linii ustępstw na rzecz odległej i, jak się zdawało wówczas, pokonanej Rosji, chyliły się ku ugodzie za wszelką cenę, brnęły od traktatu r. 1941 do Teheranu bez sprzeciwu". „Polscy Hachowie wylęgli się w Londynie", oskarża p. Günther i nagle powściągliwość Michajłowicza przeciwstawia lekkomyślnemu „wydaniu Warszawy na całopalenie" przez „Londyn". „Jaką korzyść w ogólnym bilansie sprawy polskiej przyniosło bohaterstwo Warszawy, która spłonęła jak świeca na oczach przyglądających się jej wrogów i przyjaciół?" — zapytuje. I wyciąga pewne wnioski: należy „jak najrychlej i jak najenergiczniej opanować pobudliwość kraju", albowiem „nieobmyślone i niewczesne indywidualne wystąpienia Polski z bronią w ręku okazać się mogą znów tylko samobójczą manifestacją". „Wolno zaś sądzić, że zbiorowa i „miłująca pokój" opinia świata ocenilaby nowe powstanie jako „zbrodnię", godną tylko kary w postaci ostatecznego oddania Polski silniejszemu i bardziej statecznemu opiekunowi". Należy zatem „być spokojnym, trzeźwym i biernym". „Zadania i obowiązki kraju w obecnej chwili streszczają się w dwóch słowach: trwać i wierzyć, wierzyć i trwać!"

Tragiczne widowisko emigracji zachodniej trwa nadal. Podczas gdy większość szeregowców chciałaby powrotu do kraju, ale boi się „Sybiru", lub ulega terrorowi — oficerowie kroczą konsekwentnie po linii, która Andersa i tow. doprowadziła do utraty polskiego obywatelstwa. Na tle tego emigracyjnego rozdarcia, sądzimy, że wolno głos p. Günthera uznać za pewien symptom. Bo nie o to chodzi, że i p. Günther ulega emigracyjnym złudzeniom i obija się, jak mucha w słoiku, o pewne emigracyjne absurdy. Ważne jest, że nawet on — jeden z katonów, jeden z „nieprzejednanych" — zdaje sobie sprawę ze szkodliwej pod każdym względem i całkowicie przeciwpolskiej roboty leśnych band.

jaszcz

LEX BAUDELAIRE

20 lipca 1857 roku skonfiskował sąd paryski sześć wierszy z „Les Fleurs du mal" Baudelaire'a, skazując autora i wydawców na grzywnę za „obrazę moralności". 12 września 1946 uchwaliło Zgromadzenie Narodowe w Paryżu ustawę, umożliwiającą rewizję tego i podobnych procesów. Po upływie 20 lat od wyroku orzekającego konfiskatę utworu literackiego i karzącego autora, może „Société des Gens de Lettres de France", odpowiednik naszego Związku Zawodowego Literatów, zażądać rewizji procesu. Wnioskodawca, komunistyczny poseł Georges Cogniot, tak uzasadniał projekt ustawy: „W reakcyjnych okresach naszej historii dzieła, które przynoszą zaszczyt literaturze francuskiej, były przedmiotem represyj... Tak, w roku 1857, w okresie drugiego Cesarstwa, „Kwiaty Zła" zostały skonfiskowane zaraz po ich ukazaniu się... Faryzeizm, który jest jedną z form prześladowania myśli, powinien być demaskowany i zwalczany, zwłaszcza, gdy pozbawia nasze dziedzictwo literackie rzeczywistych skarbów. Aby dobrodziejstwo rewizji procesu ograniczyć wyłącznie do dzieł, które wzbogaciły naszą literaturę i które zostały już zrehabilitowane przez sądy literackie, proponujemy, by rewizja wyroku, wydanego na jakieś dzieła literackie, mogła być podjęta dopiero w dwadzieścia lat po ogłoszeniu wyroku. Okres ten wystarcza, by ujawniły się głębsze i trwałe wartości dzieła. „Société des Gens de Lettres de France", stanowiące jednostkę prawną i będące związkiem użyteczności publicznej, jest upoważnione do żądania tej rewizji".

Podobny projekt ustawy byłby na czasie i w Polsce.

NAGRODA PLASTYCZNA

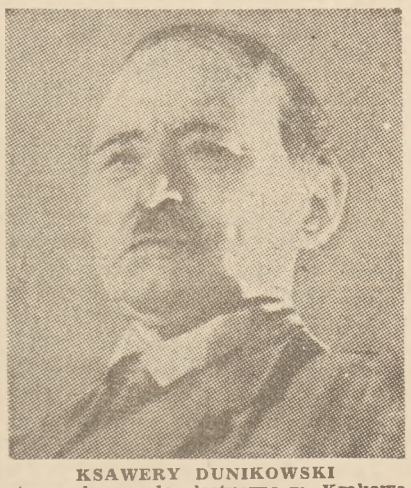

KSAWERY DUNIKOWSKI
otrzymał nagrodę plastyczną m. Krakowa

KRONIKA FILMOWA

„Skarb rodziny Goupi", film produkcji francuskiej, według powieści Piotra Very, reż. Jacques Becker.

Chciwość, zawiść, nienawiść. Duszna atmosfera rodzinna chłopów-posiadaczy; południe Francji, szczodra ziemia, piękny krajobraz — i zupełna szpetota serc ludzkich. Znamy tę atmosferę, znamy aż nadto dobrze. To klimat powieści Mauriaca i Bernanosa. Very, którego książki nie znam, jest z tej samej gliny.

Rodzina Goupi składa się z kilku warstw: od 106-letniego pradziadka, przezwanego „cesarzem" od monarchicznego fioła, poprzez rząd dziadków, ojców, wujów, świekr, kuzynów i pociotków. Wszystko to praży się w jednym domu, kłębi, swarzy, nie wymiera — chyba po to, żeby swoją egzystencją uwierać drugą, krewną warstwę. Wiadomo w tej rodzinie, że „cesarz" pielęgnuje w swej pamięci tajemnicę jakiegoś skarbu, ukrytego w domu, ale pech chce, że kostyczny staruszek urżnął się winem, legł sparaliżowany i stracił mowę, nie zdradziwszy tajemnicy. Na nic się zdają rodzinne siuchty, staruch nie chce nawet kiwnąć palcem. Fakt ten zbiega się przedziwnie z powrotem do domu najmłodszej latorośli, „panicza", który był subiektem w paryskim domu towarowym, a teraz został wezwany, bo go swatają z młodziutką kuzynką Miguet. Młodzieniec trafił fatalnie. Pierwsze jego zetknięcie z rodziną, to spotkanie wuja „Czerwona Ręka" (wszyscy mają tu jakieś przezwiska) i z wypędkiem z Legii Cudzoziemskiej „Tonkinem"; ci dwaj potrafili go porządnie wystraszyć makabrą domku wśród lasu, siedziby Czerwonej Ręki. Obydwa te osobniki, zapowiadające się na zbirów — w miarę akcji okazują się szlachetniejszymi odmianami swego klanu, i dlatego są outsiderami. Prym wodzi w tym kocim gnieździe megiera Tisana i jej mąż „Dusigrosz", ojciec „panicza", jako jednostki biologicznie najsilniejsze, między czterdziestką a pięćdziesiątką.

Tisana podpatrzyła Tonkina, wymykającego się z domu po dokonaniu kradzieży 10 tys. franków, które Tonkin wyrwał z rąk tkniętego atakiem „cesarza", bawiącego się przedtem w starczej euforii banknotami. Z batem w ręku pędzi za nim, ale w polu nawinął jej się pod bat głupkowaty krewniak Jan, pastuch. Zaczajony w zaroślach Tonkin staje w obronie biedaka i uderzeniem laski zabija tę znienawidzoną kobietę. Ale ten fakt jest w akcji ukryty. Ze śmierci Tisany urasta kryminalna sprawa, którą rodzina Goupi chce załatwić skrycie, bez udziału żandarmerii. Podejrzenie pada na „panicza', bo znaleziono jego grzebień na miejscu kradzieży pieniędzy. Wplątują się w to dwa wątki romansowe. Początkowo oporna Miguet zakochuje się w „paniczu" i porzuca Tonkina, który cieszył się dotąd jej względami. Tonkin pała chęcią zemsty i gromadzi poszlaki na niekorzyść rywala. „Panicz" daje się wziąć przez okrutnego ojca w stajni, niezbyt nieszczęśliwy, bo pewny wzajemności Miguet, i dziwnie uległy; w tym odszczepionym dziecku budzi się instynkt solidarności z klanem. W całej okazałości ujawnia się to w czasie przesłuchania przez żandarmów, których Tonkin nareszcie sprowadza na łeb rodzinie. Wtedy już wszyscy są solidarni (— na zewnątrz, proszę bardzo, jesteśmy klanem Goupi —), jak siedząc rzędem od dziadka do wnuka, macą szyki protokołu, kłamią, kręcą, drwią.

Co zrobił Tonkin? Ukradł 10 tysięcy, przeznaczając je na ucieczkę w świat, ale je podrzucił znowu wobec zabitej Tisany; nie potrafił się wyłamać. Zabił Tisanę, chciał podle zrzucić z siebie podejrzenia, ale i tego nie potrafił wykonać do końca. Wuj „Czerwona Ręka", najmędrszy, sam potrafił rozsupłać tajemnicę, wydobyć prawdę od Jana, gotowego poświęcić się z wdzięczności. Co więcej — przeniknąć też tajemnicę skarbu. Skarb był w wahadle i ciężarkach starego zegara, z litego złota. Ale nie zdradzi tego swojej rodzinie, tak uradzili z „cesarzem", który odzyskał mowę. Niech skarb pozostanie ukryty, będzie dalej przekazywany jako dobro niczyje następnej głowie rodziny, by pozostać w niej na zawsze — nieużyteczny.

Cóż Tonkin? Osaczony przez policję, ucieka na najwyższe drzewo wśród zabudowań i stamtąd demonstruje na rzecz światła, słońca, wolności, przygody, obrywa się z gałęzią i łamie kark. Tak, od rodziny Goupi nie można uciec, można tylko na niej złamać kark.

Film „Skarb rodziny Goupi" jest drapieżny, tak jak najbardziej drapieżne kartki „Kłębowiska żmij", jest dokumentem chciwości, nienawiści, szalbierstwa. Jest grany dobrze, ale mimo to między ładunkiem treści a formą nie ma korelacji. Powiedziałbym, jest zanadto obiektywny, epicki. Jeśli np. taki moment, jak obnoszenie po domu sparaliżowanego „cesarza", by dał znak, gdzie skarb jest ukryty, cechuje groźny, makabryczny humor, to innym wariantom akcji brak tej kondensacji. Obiektyw jest nadto nieruchomy, przenośni nie ma, a podkreśleń, zbliżeń za mało, by dało się wyrugować dłużyzny i zawiłości z opowiadania, którego szkic musiał zająć aż tyle miejsca. Widocznie w języku filmowym coś szwankuje. „Rodzina Goupi" mogłaby równie dobrze być zrobiona 15 lat temu. Ale mimo to nie przestaje być interesującym dziełem, które może nie tyle zachwyca w czasie oglądania, co zapładnia na później, daje dużo do myślenia, tak jak dobra powieść.

Marian Promiński

Duchy poetów podsłuchane

podsłuchuje **KAZIMIERZ WYKA**

JAN KASPROWICZ

BALLADA O JODLE

Latami schylona jodła
Ta jedna się jeszcze zieleni
I w krwawy patrzy pokrowiec
Liści, co wichry je zwiały;
Nocami tłucze w me okna,
Nocami, pełnymi jesieni —
Żadnej ci nie dam pociechy,
Od bólu-m jest skamieniały —
Raczej zakrzyknąć — hej!...

Otwarłem kiedyś-ci odrzwia,
Gdy winem byłem pijany —
W zeschniętym gdzieś winogradzie,
Co ganek martwy oplata
Gwiazdy, jak żwir w mym potoku — —
Gdzieś tam gór sine ściany,
Gdzieś tam w nich księżyc blednący
Jak duch nie z tego świata...
Raczej zakrzyknąć — hej!

Gdzieś tam wśród turni skruszonych
Piargów wężowe koryta
I róże szronem zwarzone,
Co w pawie patrzały stawy!
Gdzieś tam już zima zaciąga
W człowiecze nędze spowita —
I sine zbiegną całuny
Na resztki zbiedniałej trawy...
Raczej zakrzyknąć — hej!

Gdzieś tam i bliscy są moi
W walk człeczych koło wpleceni — —
Śmierć kością chrupie zawistna
I ostrzy o kamień kosę
O polny na miedzy kamień:
Niechaj wynijdzie z bezdeni!
Niech głowy jak kłos padają
Na letnią cięty rosę:
Raczej zakrzyknąć — hej!

Latami schylona jodła
Konarem na ganek wieje,
Gdziem ongi siadywał latem,
By spijać brązowe wino;
Młodość jej wtedy minęła,
Gdym ja swe pierwsze nadzieje
Na barki zarzucał młode — —
Spłynęły lata i spłyną...
Raczej zakrzyknąć — hej!

Nie kpijmy z siebie starucho,
Tak zgięta jak ja, tak licha.
Poczęci na to jesteśmy
By tym się cieszyć co mija!
Woda w potoku pod mostem,
Melodia każda przecicha,
Bogów dalekie różańce,
Czas żądłem trujący by żmija —
Raczej zakrzyknąć — hej!

Raczej ostatnią gałęzią
Co tego-ć wyrosła roku
Sobie się samej dziwując
Lepiej tym oto konarem,
Jak dłonią od znojów szorstką
Łzy w moim wytrzyjmy oku!
Latami schylona jodła
Nad swym żywotem łka starym —
Raczej zakrzyknąć — hej...

KAZIMIERZ TETMAJER

POŁUDNIE

Po lazurowej niebios głębi
Chmur ciche klucze płyną hen —
Skalnych krzesanic tłum się kłębi,
Jakby w granity ścięty sen.

Srebrnym pobrzękiem owiec stada
Szemrzą, gdzie upłaz pnie się wzwyż,
I wiatr z kosówką cicho gada
Pośród zielonych, halnych cisz.

Południa cudna to godzina,
Dusza by pomknąć chciała w dal —
Jak głaz ją więzi dawna wina,
Przygniata ból, zatruwa żal.

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

MADRYGAŁ DLA PEWNEJ CNOTKI ŚWIEŻO OBUDZONEJ...

Powiadasz, pani sroga,
Że na twą cnotę dybię,
Odrzucasz mię od proga,
Jak pijak szkło po bibie.

Żem miał przekroczyć, rzekłaś,
Z tobą b o n - t o n u prawa.
Nie powiem wcale: z piekła ś,
Jędzusiu ma łaskawa.

Nie powiem ci, że kłamiesz,
Że łżesz, nie rzeknę takoż,
I gdy się z „cnotą" łamiesz,
To powie cnót tych smakosz:

Zanim ostatnie słowo
Zapadnie w mojej sprawie,
Pozwól, niechaj na nowo
Rzecz całą ci przedstawię.

Pachniały majowe drzewka,
Jak skrawek twej podwiązki;
Na ławce — student, dziewka
I dwie zielone gąski.

Pamiętasz tę ławeczkę,
Wszak byłaś w owej grupce,
Na brzeżku jej troszeczkę
Na swej się kręcąc... główce.

I ślepki twe strzelały
Ciągle ku jednej stronie,
Gdziem usiadł ja, nieśmiały —
Jak halerz przy koronie.

Później zaś wstałaś, luba,
Spojrzeniem miecąc za się,
Czy twoja męska zguba
Wstanie w tym samym czasie.

A kiedy cię mijałem
Torebka, tak niechcąco,
Na ścieżkę — hęc, — bęcwałem
Kto poda ją milcząco...

I mógłbym tę opowieść
Przez wszystkie wieść szczegóły
Lecz wiem: rzecz inna — dowieść
Rzecz inna — skutek czuły.

Więc tylko tę hafteczkę
Pozwolisz, że odświeżę,
Jedyny raz, gdy w sprzeczkę
Zapadło nasze leże.

Jam ją odpinał w prawo,
Zbłądziwszy drżącym palcem,
Bom tak pamiętał wprawą
Nabytą, gdym był malcem.

Jęknęłaś czarnobrewo,
Jak jakaś nimfa walna:
Odpinaj, drogi, w lewo,
Jestem o-ry-gi-nal-na...

A teraz mówisz, sroga,
Że dybię na twą cnotę,
Odpędzasz mię od proga,
Wzbraniasz mi swą pieszczotę.

Któż tu na kogo czyhał,
Chwytał w tak zwane sidło,
By dziś cnotliwie czmychał,
Gdy mu po prostu — zbrzydło?

Gdy wyrok więc zapadnie,
Nie z twej on będzie racji,
Lecz wpiszą tę wykładnię
W ostatniej apelacji:

Rad bym cię uźrzał pani,
Jak dziecię swoje kaku,
Lecz żem posłuszny dla Niej.
Nie żal mi nawet smaku.

BRONISŁAWA OSTROWSKA

CYKLAMENY

Cyklamenów rój, jak kolibrów pęk bogaty,
Gdzie tygrysich skór złote ścielą się ławice,
Gdzie w witrażach tęcz purpurowe śpią mgławice...
Cyklamenów rój pośród tajnej drży komnaty.

Z marmurowych urn fontann jęk się srebrny kropli,
Jak dziewicy śpiew, co na próżno zwie kochanka...
Mdleje z brzegów liść... sennie chyli się sasanka
Wśród srebrzystych gron, jak baśniowych jaskiń sopli.

Ach, zmęczoną kładę dłoń w kwiecie jak w motyle...
Zda się, żem wśród łąk, w kolorowej gdzieś roztoczy,
W południowy czas, co żarliwym blaskiem mroczy
I roztapia świat w migotliwym, złotym pyle.

Lecz w marmurów dziw z baśni więzi mię komnata;
Dale marzeń mych krąg witraży krwawych kruszy,
Szemrząc, że to baśń tęsknej jeno mojej duszy,
Gdzie w kolibrów rój cyklamenów pęk się splata.

LITERATURA SATYRYCZNA

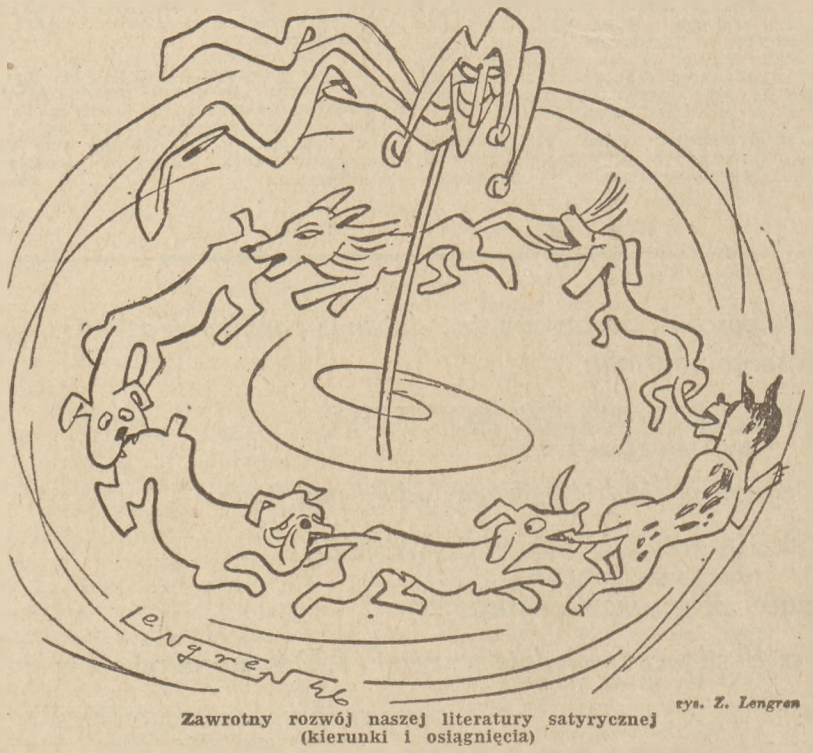

rys. Z. Lengren

Zawrotny rozwój naszej literatury satyrycznej (kierunki i osiągnięcia)

Z SIŁĄ ORKANU

Jan Nepomucen Miller w art. „O wagę słowa" („Warszawa", nr 6) skarży się na nadużycie słowa, które po propagandzie sanacyjnej i „orgiach i sabatach" propagandy hitlerowskiej zepchnięte zostało do „roli gwizdka i bębna". O co chodzi? „Nie o gadulstwo, rzecz prosta, lecz o pełną, prawdziwą wagę słowa, rzetelną jego miarę". J. N. Miller rozpoczyna swój artykuł takimi dwoma zdaniami: „Wyszliśmy z mroków i głuszy okupacyjnej nocy na światło dnia. Twardym mozołem rąk, fałdą pionowej myśli... wpatrzeni w wizję rodzącego się kształtu przyszłości". Skoro więc w tym stylu („mozołem rąk wpatrzony w wizję") brnie aż do końca, należy mu przyznać rację, że choć nawet „w tej chwili jest trochę mniej zróżniczkowania w zgiełkliwym jazgocie — piszczałki jednak i trąby nadęte grzmią (nadal) z siłą orkanu".

jaszcz

HEMMINGWAY I DWIE RĘCE NIEMCÓW

Ernest Hemmingway powrócił z Niemiec. Ogłasza obecnie w prasie amerykańskiej szereg bystrych, krytycznych wobec rzekomej demokratyzacji Niemiec, surowych i trafnych obserwacyj. Nie brak w nich i humoru. Zapytany przez jednego z przyjaciół, czy Niemcy uwierzyli w swą klęskę odpowiedział: Tak, jeden z Niemców powiedział mi: „Hitler potrafił nas zmusić do podnoszenia jednej ręki. Eisenhower go zwyciężył — zmusił nas do podniesienia obu".

gi

„NIEDZIELA" WALENTEGO MAJDAŃSKIEGO

„— Ale czy pani doktór będąc na uniwersytecie nie czuła się przygnębiona, gdy sama tylko nosiła sukienkę dłuższą, a pozostałe studentki ubrane były kusiuteńko?

— Owszem z początku myślałam, że się zapadnę pod ziemię, lecz ustawicznie wtedy sobie przypominałam, że patrzy na mnie stale pewien najprzystojniejszy i najwspanialszy mężczyzna świata: Człowiek-Bóg... Chrystus... proszę sobie wyobrazić, od tego czasu zaczęłam się także podobać i to nad życie jeszcze jednemu mężczyźnie: memu obecnemu narzeczonemu: Tolkowi. Czasem przychodzi mi nawet na myśl, że Tolek tylko dlatego zauważył mnie wśród tysięcy studentek, że nosiłam dłuższe sukienki?..." „...niedługo już część z dziewcząt Polek będzie miała odwagę ubierać się tak, by się podobać przede wszystkim Młodzieńcowi-Chrystusowi oraz tym chłopcom, za których jedynie warto wychodzić za mąż. Dziś jest bardzo trudno wyjść za mąż".

Cytat zaczerpnięto z artykułu katolickiego publicysty Walentego Majdańskiego pt. „Ślubowania dziewczęce" — „Niedziela", nr 36.

O POEZJI PROROKÓW

(Na marginesie rozmów o Kasprowiczu)

W nr. 17 „Życia Literackiego" wb „poucza" jp z „Odrodzenia", że nie tylko wielcy poeci (Whitman, Szekspir, Goethe), ale „...również prorocy robią „błędy" literackiego wyrazu. I tu można cytacje podać. Takich przykładów dałoby się setki przytoczyć... Ale może jp nie zna W. Whitmana, proroków, Szekspira, Goethego... Na początek można by mu poradzić przestudiowanie „Źdźbeł trawy" Whitmana... jp czeka dużo niespodzianek..."

Ja ze swej strony radzę jp przestudiować na początek proroków (są pod ręką). Czeka go naprawdę dużo niespodzianek. Jeden z dwóch żyjących jeszcze w Poznaniu proroków w swej „monumentalnej rzeźbie" — poemacie zwraca się do szatana z takim pytaniem:

Jesteś, Szatanie, samiec czy samica?
Czy masz w zwierciadle gładkie gachów lica,
Czyś sobie żeńską upodobał płeć?
W żebrach czy w mózgu są twoje dzierżawy,
Czyś się osiedlił w sutce piersi prawej,
Czy też gdzie indziej pałac wolisz mieć?
Milczysz — jak niemy... Wszeteczna istoto,
Uchodź i bodaj własną swą niemotą
Manowcom świeć!

W następnych licznych strofach prorok wymyśla Szatanowi, nazywa go m. i. „stryjem lucyperian", wreszcie go oskarża:

Raz znowu, mnicha wziąwszy postać młodą,
Kusiłeś praczki samotne nad wodą,
Ku ich piersiątkom wyciągałeś dłoń,
Pokazywałeś białogłowie prącie —
Capie bezwstydny, jako słusznie zwą cię —
Szepcąc: „Ślicznotko, główkę ku mnie skłoń!"
Gdy cię bić chcieli, chwytali za wiosła,
Pierdnąłeś nagle i zmieniony w osła
Skoczyłeś w toń.

Dalsze losy Szatana są opowiedziane w kilkudziesięciu wierszach, Szatan zostaje ostatecznie pokonany.

Nie należy bagatelizować ponurego i groźnego faktu: poematów drukowanych w poznańskim „Życiu Literackim", redagowanym przez Wojciecha Bąka, autora „Piątej Ewangelii".

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.—Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 120 zł.
M — 15406 Złożono w Drukarni Narodowej, odbito w Pierwszej Drukarni Państwowej w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".